

61030

HORIZON

# Wojciech Kuczok

## OPOWIEŚCI SŁYCHANE



biblioteka  
**STUDIUM**  
1 9 9 9

POZNAŃ



10370751

Bibl. UAM  
2000 EO8

Oleńko, Oleńko

## Diobół

1.

widzi cmentarz, kościół i przepierzenie łączące świątynię z kaplicą, w której ma się odbyć lekcja religii, przed kaplicą grupka rozbieganych dzieciaków czekających na księdza, w przepierzeniu na różnych wysokościach przeprute otwory w kształcie zakonnic, dzieciaki wspinają się po nich, skaczą z wyższych, przez niższe przebiegają, on wchodzi do tej, która jest pod samym okapem, najwyżej, siada i czuje się bezpiecznie, jestem dzieckiem zakonnic, krzyczy, aż ludzie na cmentarzu odrywają się od porządkowania zniczy i szukają źródła wrzasku, jestem dzieckiem zakonnic, powtarza a potem zeskakuje, ksiądz się spóźnia, dzieciaki się niecierpliwią, on też jest znudzony, zauważa oponę przywiązaną do zwisającej ze stropu liny, dziwi się, skąd tu taka huśtawka, wiesz się na oponie i odpycha do ściany, nagle odzywają się dzwony, ty wariacie przestań dzwonić, krzyczą dzieciaki, ale on jeszcze nie rozumie, taka fajna huśtawka, dopiero kiedy przychodzi proboszcz i ściąga go na ziemię, potem bije w twarz i pyta czyj ty jesteś, czyj ty gnojku jesteś, dopiero wtedy wie, że się pomylił, że to nie jego miejsce, wraca

2.

widzi przedszkolną jadalnię w porze śniadania, dzieciaki przy stolikach po czworo, po cztery kubki mleka i cztery rogałe grubo posmarowane margaryną, jego kubek jest już pusty, ale zostało pół rogała, ma nim wypchane usta, nie może przełknąć, jest mu niedobrze, sąsiedzi już kończą, dopijają mleko i wpychają ostatnie kawałki, rozgląda się po sali, jeszcze tylko on i halinka ze stolika obok, wie, czym to się skończy, wykorzystuje chwilę zamieszania, kiedy chłopcy zaczynają się tłuc, rzuca rogała pod



stolik, wszystko w porządku, nikt nie widział, przychodzi pani, wstają i wychodzą leżakować, halinka zostaje ze swoim rogalem, będziesz tu siedziała dopóki nie zjesz, rozumiesz, choćbyś tu miała spać, ale to zjesz, halinka płacze, ale jego już tam nie ma, kładzie się na leżaku i zamyka oczy udaje, że zasnął, dzieciaki okładają się poduszkami, on leży i próbuje połknąć papkę, która zakleja mu usta, powoli produkuje ślinę i próbuje połknąć, nagle robi się cicho, do sali wpada pani, wszyscy na zewnątrz, już, wychodzić na korytarz, raz dwa, on przeczuwa, co się stało, ze strachu prawie dławi się papką, ale wychodzi z wszystkimi, tam ustawiają ich w rzędzie, pani trzyma w ręku bambus, boże tylko nie bambus, pani ogłasza, że znaleziono rogalik pod stolikiem, że to ciężki grzech gardzić chlebem, że ten, kto to zrobił zostanie ukarany, ale jeśli się przyzna, to rodzice się nie dowiedzą, no, czekam, kto to, ale dziatwa milczy, więc pani podchodzi z bambusem do każdego z osobna i pyta, to ty, może ty, nie, ja przecież siedziałem przy innym stoliku, on stoi ostatni, bambus zbliża się, nikt się nie przyznaje, on ma pełne usta, papka pęcznieje, już trudno wytrzymać, jeszcze jedna osoba, wreszcie bambus zatrzymuje się przed jego twarzą, a może to ty, siedziałeś przy tamtym stoliku, prawda, ale on nic nie odpowiada, tylko myśli, że już nie wytrzyma i na chwilę przed tryśnięciem wymiotami w kraciastą spódnicę pani zauważa przez uchylone drzwi jadalni halinkę, która siedzi bez ruchu przed nadgryzionym rogalem, wraca

3.

widzi jogurt, jogurt truskawkowy, kasia codziennie wychodzi na przerwę z jogurtem, codziennie nie może się powstrzymać i prosi ją, żeby dała skosztować, ale ona tylko na to czeka, wypija przy nim do dna i daje mu pusty kubek, a on wylizuje resztki osiadłe na ściankach, liże i myśli, że kiedyś, kiedy będzie tak silny, że ojciec będzie się bał go uderzyć, wtedy będzie kazał sobie kupować jogurty codziennie, tak jak kasia, której mama pracuje tam, gdzie się robi jogurty, ale na razie wylizuje i widzi, że dzisiaj kasia ma jeszcze jeden jogurt, podchodzi do niego i pyta, chcesz cały, taka dziwna, no chcesz dostać cały, to chodź ze mną, boże, cały jogurt dla mnie, myśli i idzie za nią, wychodzą na podwórko szkolne, wchodzą między garaże i ona mówi dostaniesz cały jak pokażesz siusiaka, no ściągnij

spodenki, zdejmuje, mogą dotknąć, pyta kasia, robi się całkiem poważna, dotyka jego ptaszka badawczo, a potem daje mu jogurt, masz, cały dla ciebie i zostawia go między garażami samego z jogurtem, boże, czy to prawda, otwiera i pije powoli, smakuje każdy łyk z osobna, jakby już nigdy w życiu nie miało go spotkać większe szczęście, powiewa chłodem, przypomina sobie o siusiaku, zagląda pod spodenki, czego ona chciała, dotyka, sprawdza, cały dzień bada siusiaka, w domu, przed lustrem, potem pod kołdrą, a kiedy przychodzi ciotka, żeby pomodlić się z nim na dobranoc, zdejmuje kołdrę i pokazuje jej ptaka, ciocia, patrz, co mi się stało, ptak mu stoi, jego mały ślimak sterczy i wygląda teraz jak wyprostowany mały palec u dłoni, w dodatku jest siny jak nos ojca, ciotka wybiega z wrzaskiem, boi się, że zrobił coś złego, ślimak chowa się do muszli, wraca pod piżamę, wbiega ojciec z pejczem, zrywa z niego pościel i bije, coś ty zrobił, coś ty zrobił ciotce, ty pieronie ognisty, ty diobło wcielonny, wali go jak starą chabetę, która nie nadąza pod górę, ból jest wszędzie, w każdym kącie pokoju, drze się na całe gardło i płacze, widzi ciotkę, która klęczy przy tapczanie i modli się do obrazka, wraca

4.

widzi twarz wściekłego ojca i jego rękę, która ściska go za kolano, a potem wraca, by spleść się z drugą dłonią do modlitwy, słyszy jego szept z bliska, bardzo bliska, czuje gorące powietrze z jego ust w swoim uchu, pogodomy po mszy, jo ci dom spać na kazaniu, już nie zaśnie, choć jest niewyspany, a do końca nabożeństwa jeszcze dużo czasu, klęka, wstaje, śpiewa, uważa, żeby się nie spóźnić z żadną czynnością, pierwszy wyskakuje do komunii, a potem w ławce modli się długo, najdłużej, modli się do połkniętego kawałka, żeby go ochronił, żeby ojciec zapomniał, żeby nie bił, żeby dał się przeprosić, ale w domu czeka nieuniknione, pejcz, krzyk, lzy i ból aż do wieczora, przez całą noc, do rana, i nienawiść, postanowienie, że jeszcze nie dziś, jeszcze nie teraz, ale kiedyś na pewno, kiedyś na pewno rozliczy się z każdego uderzenia, dokładnie, bez przeoczeń, kiedyś, ale na razie słucha, od dziś co niedziela po mszy będziesz musiał mi opowiedzieć, co farorz godał na kazaniu, a tak, żebych wiedzieli, że do ciebie dotarło, na razie słucha i przez cały tydzień śni kazanie proboszcza, co noc inna wersja, kiedy nadchodzi niedziela sam nie wie



już co mu się śniło, a co ksiądz rzeczywiście mówił, choć słucha go uważnie, nawet nie drgnie, wyprostowany, słucha całym sobą, jakby uszu mogło zabraknąć, żeby usłyszeć wszystko, jakby musiał wchłonąć homilię przez skórę, prosto do krwi, słucha ale nie rozumie, miesza, nie potrafi, modli się, żeby zrozumieć, ale już wie, wie, że to nie ma sensu, zna zakończenie, po mszy ojciec zapyta, a on nie odpowie, nie będzie w stanie odpowiedzieć, więc po komunii modli się nie o przebaczenie, nie do poślkniętego opłatka, ale patrząc w ziemię, pod ławkę, sięgając pod drewno, pod posadzkę, ziemię, głębiej, tam gdzieś, gdzie umiejscowiono jego siedzibę po śmierci, tam, głęboko, szuka i wyczuwa obecność, więc modli się, żeby ojciec umarł, żeby nie przeżył tej mszy, żeby serce stanęło nagle i definitywnie, żadnych szpitali, karettek, odwiedzin, tylko zamieszanie, kostnica, pogrzeb, fałszywe łzy nad grobem, a potem wolność, wolność, modli się i czuje kuksańca, siada w ławce i widzi, że msza ma się ku końcowi, że już wszyscy dawno przestali się modlić, a ojciec zdziwiony gorącym szeptem klejąc węża do jego ucha pyta, coś ty ogupił, co tak dugo się modlisz, a więc żyje, żyje i wyjdzie z kościoła, i zapyta go, i nie otrzyma odpowiedzi, a więc jeszcze nie teraz, wraca

5.

widzi grób matki, nad którym stoi i płacze w wieku lat pięciu, w wieku lat piętnastu, w wieku lat dwudziestu pięciu, wraca

6.

widzi cudaka wyskakującego z samochodu i niepewnie obwąchującego nowy teren, cudak jest wielki i kudłaty, śmierdzi stodołą, ma pchły i jest zdziczały, ale ma rodowód, to pies ze szlacheckiej rodziny, rasowa krew, tylko że państwo go zostawili przed wyjazdem i od trzech lat spał z owcami w szopie na plebanii, proboszcz nie ma czasu na psa, i tak z trudem znajduje czas dla owiec, więc go przywiózł, wystarczy przystrzyc i wykąpać, pchły się wytruje i pies jak się patrzy, medalista murowany, i oswoi się raz dwa, zresztą ojciec ma wprawę, ojciec już go wytresuje, proszę księdza, z tym nie będzie kłopotu, cudak biega po ogrodzie i obwąchuje zakamary, siada i się drapie, a potem znowu obwąchuje, duży, duży jest,

prawda, ja, synek, wielgi diobol, wielgi, przez noc jest już wykąpany i ogolony prawie do skóry, znosi zabiegi pokornie, nawet nie warczy, daje mu się głaskać, już patrzy spokojniej wokół, przyzwyczajają się do barłogu pod stolikiem, jakby te trzy lata z owcami i robactwem były tylko długim psim snem na kanapie państwa, a teraz się zbudził i znowu o niego dbają, tato, niech cudak będzie mój, prosi rano, dobra, obadomy, mówi ojciec i woła cudaka do kuchni, żeby dać mu żarcie, cudak, cuudak, kaj tyń pieron, szuka, wchodzi do sypialni i widzi psa na tapczanie, ojciec widzi psa na s w o i m tapczanie i wydaje z siebie coś jakby zdławiony krzyk, jakby był zbyt poruszony, żeby podnieść głos, natychmiast sięga po pejcz, ten sam pejcz, rzuca się na cudaka, ale pies jest szybszy, robi unik i zdziwiony wydaje ostrzegawcze warknięcie, ojciec jest purpurowy, na kogo ty warcys ty chuju, ty na pana warcys, jo ci dom, i bierze jeszcze jeden zamach, ale cudak i tym razem unika ciosu, zeskakuje z tapczanu i nagle rzuca się na ojca, błyskawicznie zaciska swoje kły na ręce trzymającej pejcz, ojciec wyje przeraźliwie, ale nie puszcza bata, pies zaciska zęby, ojciec zaciska pięść i ryczy, ryczy jak wół, wszystko trwa wieczność i nie trwa chwili potem pies ucieka do kuchni, a ojciec nadal trzymając bat osuwa się na tapczan, rana jest głęboka, bardzo głęboka, krew zostawia ślady na narzucie, ojciec wije się z bólu, on stoi i patrzy, czeka na łzy, czeka, aż ojciec zacznie z bólu płakać, aż puści ten przeklęty pejcz i poprosi go o jodynę, bandaż, telefon na pogotowie, cokolwiek, zapłacze i poprosi, ale ojciec wije się z batem, wije się i zaciska zęby, ale już nie ryczy, on podchodzi bliżej, całkiem blisko, bo wydaje mu się, że coś zauważył, pochyla się nad tapczanem, teraz już nie ma wątpliwości, jest, wreszcie, pojawiła się, po ojcowskim policzku spływa jedna zabłąkana i niepowtarzalna, przypadkowo pominięta przez cenzurę, najprawdziwsza łza, teraz już może odejść, idzie do kuchni, znajduje pod stołem przestraszonego cudaka, ostrożnie wyciąga rękę i głaszcze go, głaszcze i mówi, dobry cudak, dobry, kochany piesek, będziesz mój, wraca

7.

widzi marię, która ma czarne włosy, dorosłe piersi i chłopaka, ilekroć widzi marię włącza mu się prąd w klatce piersiowej, widzi ją w szkole, kiedy rysuje na nudnej lekcji serca w brulionie, kiedy jedząc na przerwie

drożdżówkę ugina nogę i opiera się o ścianę, stoi jak bocian, a spódniczka przesuwa się jej wysoko ponad kolano, prąd, kiedy ćwiczy na wuefie, a on przychodzi z wiadomością dla magistra i widzi jej napięte pośladki, prąd, kiedy robi skłony, przysiady, prąd, kiedy się pochyla i przez chwilę luźna koszulka odsłania obraz, który zapamięta na długo, który będzie miał przed oczami brandzlując się wściekle w domu, w pokoju, w ubikacji, na strychu, w ukryciu przed ojcem, który i tak wie, on wie wszystko, przed maria, której obraz jest ważniejszy od niej żywej, przed maria, która nigdy na niego nie patrzy, bo ma chłopaka, ale to jest gorsza maria, nie z ta maria idzie na strych, nie tę marię rozbiera w pokoju, nie tej marii wkłada do ust w ubikacji, nie tej marii mówi, że ją kocha tuląc się do poduszki, ale któregoś dnia sen się przedziera w biały dzień, sen się wysnąć nie chce i robi wielkie zamieszanie, maria podchodzi do niego przed lekcją, prąd, mówi do niego otwierając usta pokryte cienką warstwą dorosłej pomadki, prąd, słyszałam, że masz owczarka, prąd, prąd, prąd, a potem, że to cudownie, bo ona kocha owczarki i że koniecznie musi go jej pokazać, że teraz jest głupi polski, że ona nie ma zamiaru słuchać bredni o faraonie i mogą iść na węgry do niego, ha, ha, jakie to śmieszne, węgry, jak w podstawówce, to już nie prąd, to jest wanna pełna ukropu, w której zanurza się cały, po sam czubek nosa, to ona, maria, idzie do niego do domu, wchodzi po jego schodach, do jego mieszkania, do jego pokoju, o, ładnie mieszkasz, dużo starych mebli, to antyki, tak, a gdzie pies, zaraz zawołam, cudak, cuudak, nie ma cudaka ale jest ojciec, wchodzi i wita się z maria, całuje ja w dłoń, całuje jego marię w dłoń, maria się śmieje, to takie szarmanckie, tata gdzie pies, ojciec ma zabandażowaną rękę, ojciec pyta, a lekcji ni mocie, dzisiaj nas zwolnili proszę pana, bo zachorowała nauczycielka, no i przyszliśmy tutaj, bo chciałam zobaczyć waszego owczarka, ja kocham owczarki, mój chłopak też ma owczarka, jej chłopak, prąd, ojciec gniewnie marszczy brwi, odwraca wzrok i mówi, cudaka ni ma, zdech rano, coś musiał zeżryć, bo rzigoł a potem zdech, maria ma łzy w oczach, ojej jaka szkoda, biedny, tak chciałam go zobaczyć, jak to zdech, tata, gdzie jest pies, on był zdrowy, nie mógł zdechnąć, godom, że zdech, nie mógł ale zdech, ni ma psa, zakopany w ogrodzie, wybiega z pokoju, wrzeszczy, wyje i biega po ogrodzie, woła cudaka, potem rzuca się na ziemię i ryje w niej gołymi rękami, zrywa trawę, szuka świeżo rozkopanego miejsca, w końcu przypomina sobie o marii, o tym,

że prawdziwa maria, przed którą trzeba się ukrywać jest jeszcze w jego pokoju sama z jego ojcem, który wszystko wie i pewnie właśnie jej mówi, który otruł jego cudaka, wbiega z powrotem na górę, do pokoju i rzuca się na ojca, ty skurwysynie przeklęty, ty przeklęty skurwysynie, bije go na oślep, przewraca na ziemię i kopie w głowę, w brzuch, w jądra, ryczy i kopie, dociera do niego krzyk marii, przestań, przestań, ty wariacie, ty świrze, przestaje, ojciec zwija się na ziemi brocząc z nosa, czoła i ust, a więc to już, dzisiaj, kiedyś jest dzisiaj, dzisiaj, w którym ojciec leży skopany przez niego na ziemi, w którym prawdziwa maria mówi do niego w jego pokoju, że jest nienormalny, że powie całej klasie, od dzisiaj nie usłyszy już nigdy słowa z ust ojca ani z ust marii, której dorosłe piersi pozostaną dla niego na zawsze ukryte, która nigdy nikomu nie powie, ale będzie na niego patrzeć tak, że na zawsze odetnie dopływ prądu, że strych, ubikacja i klucz staną się niepotrzebne, bo niczego nie da się już ukryć, ani przed maria, ani przed ojcem, który umrze na zawał dwa miesiące później, na którego pogrzebie będzie sześć osób łącznie z grabarzami, którego za długa trumna zmieści się w grobie tylko dlatego, że będzie padał deszcz i ziemia będzie rozmokła, tych sześciu ludzi, wśród których i on się znajdzie będzie mogło wkopać tę trumnę do środka, ubijając od góry nogami, skacząc, tańcząc na trumnie ojca, z mozołem wciskającej się pod ziemię, uparcie nie chcącej się zmieścić, w deszczowy, zimny poranek, wraca

8.

widzi ojców, bogów ojców, godnych i sprawiedliwych, hosanna na wysokości, karzących i uczących, posępnych i wszechwiedzących, władczych i niedostępnych, powiedz tylko słowo, nieśmiertelnych, nieporuszonych, niewidzialnych, niezłomnych, jam jest jeden, zakazujących, nakazujących, stwórców i niszczyieli, posiadaczy, kaprali, sztygarów, naczelnych, dyrektorów, ministrów, sędziów, premierów, prezydentów, imperatorów, widzi przez całe życie, w ojcu kasi, którą spotyka miesiąc po maturze w pociągu i z trudem poznaje, a potem czeka, które pierwsze zapyta, pamiętasz jogurt, a potem spędza wakacje w jej namiocie, w jej ojcu, który nakłania ją do usunięcia, bo studia, nauka, plany na przyszłość, stypendium zagraniczne, wszystko ci opłacę, tylko usuń i rzuć tego gnojka, w jej ojcu,

którego wieczorami wywołuje przed domem, który szczuje go psem i polcją, który wysyła w końcu kasie do izraela na wieki wieków, w ojcu halinki, której nie poznaje wcale, dopiero po miesiącu u niego na materacu, leżąc w sobie pomiędzy jednym a drugim wyznaniem miłosnym, śmiejąc się przypominają sobie o przedszkolu, przecież to ty wywaliłeś rogala, a ja wtedy siedziałam do wieczora w jadalni, ale mama mnie odebrała i zrobiła taką zadymę, że tę kretynkę panią wylali na zбитy pysk następnego dnia, w jej ojcu, który nie przychodzi na ich ślub i przysyła list zamiast prezentu, żeby wam bóg wybaczył, bo ja nie mogę, w sobie, kiedy jego syn dorasta, kiedy widzi w nim swoje odbicie, a w sobie odbicie ojca, kiedy zaczyna nienawidzić, choć nie wie kogo i za co, kiedy dochodzi do wniosku, że syna, że siebie, że halinkę, za powtarzalność, za mojrę, za ojcostwo we wszystkich formach, widzi twarz ojca, który wie i czeka na niego, kiedy zakłada sobie pętlę i kopie stółek, zanim halinka zapuka do pokoju, widzi twarz ojca, która po raz pierwszy jest pełna zrozumienia, idzie więc do niego, bez powrotu.

## Pieron ognisty

– Jeżeś, Jeżeś, on znowu dzwoni, no dejcie spokój, kto te rachunki popłaci – głosem kuchennym, odważnym dzięki przymkniętym drzwiom, które można w chwili niebezpieczeństwa szybko zamknąć, oznajmia Luiza niejako *à part*, mając Jezesia za publiczność, Jezesia, od którego oczekuje zrozumienia i kary doczesnej dla grzesznego wnuka dzwoniącego, używającego nagminnie diabelskiego wynalazku do szeptania świństw, przekleństw, do kłamstw, do cudzołóstwa przywoływań, do złego, tylko do złego, wyłączyć by to, oddać, po co mi telefon, trzeba oszczędzać, a jak tu oszczędzać przy takich rachunkach, muszę zaraz zawołać Antka, niech mu da po pysku, wisusowi jednemu.

Witold połyka obelżywą ripostę, chcąc uniknąć nieekonomicznej polityczki, nie ulega prowokacji, podchodzi tylko do drzwi kuchennych, wyjmując klucz od wewnątrz (jakiż fart, że w tym domu klucze są w każdym zamku), zatraskuje i zostawia Luizę z garami i radiem maryja. Luiza tryska jazgotem samoobronnym, wali warzechą, szarpie klamkę, ach, ona mu pokaże, pysk mu obje, żebyż zamknąć w kuchni, to diabeł w ludzkim ciele, Antoś, Antooś, gdzieżeś, Witek mnie zamknął!

Ale Antoś biega po parku, musi gdzieś wybiegać swoje ciężkie sny, musi wybiegać swoje pokracznie małe stopy, telepiące się dłonie, obłany egzamin na akademii przed dwudziestu laty, Joannę, która czekała całą noc, ale w miesiąc później była już prawowitą własnością Jana, jego najlepszego przyjaciela, musi wybiegać gdzieś sny, którymi w końcu skazał go na szafot (Jan stracił głowę na poziomie sześćset w trzy lata po ślubie), Joanna została z małym Antkiem, została i znowu czekała, może jeszcze czeka, ale czas płynie tak szybko, nigdzie nie można zdążyć, nie ma pośpiechu w tych, to jest w innych sprawach, moje płaskorzeźby, wciąż nowe zamówienia, no i mama taka schorowana, poza tym mam przecież przyjaciół, ech, biegać, wybiegać to wszystko, co słyhać za ścianą u Witka,

kiedy sprowadza te młode kurewki, nie mam czasu, żeby się nim zająć, pogrozić, czy co, nie mam nawet na to czasu, więc skąd miałbym znaleźć na, na, wybiegać to.

Nie ma Antosia, jest tylko krztusząca się śliną Luiza za drzwiami, można więc dzwonić, wywołać Tanię, o tej porze zmywania z siebie lepszych tramwajów, sprawdzania, czy już się zaczęło, czy jeszcze jeden dzień opóźnienia, jeszcze jeden kęs niepokoju (bezużyteczne tampony parzą dłoń nerwowo szukające papierosów w torebce, jeszcze dwa dni, góra dwa dni, potem zrobię test, Boże, o czym ja w ogóle myślę, dlaczego Witek nie dzwoni, miał dzwonić), więc dzwoni.

– Pragnę cię. Przyjedź. – chowa słuchawkę pod koszulą, osłania, ale i tak ryk Luizy dociera, musi docierać, „niech słyszy, niech słyszy ta twoja lampucera, co robisz z babcią, on mnie zamknął w kuchni! proszę powiadomić policję i pogotowie psychiatryczne!”.

– Dlaczego babcia używa tylko wyrazów na P.? – wtrąca, a Luiza rezonuje ze zdwojoną energią: „nie pyskuj!!! a pani śmierząca noga niech w tym domu więcej nie postanie!! Słyszysz pani!! Jeezee!!!

– Powiedz jej, że słyszę. I że jak coś komuś śmierdzi, to jej zgnie sumienie.

– Taniu, skarbie, nie zwracaj uwagi.

– Nie przyjdę do tego domu wariatów. Czeka na ciebie w Kame-ralnej. Jest problem do omówienia.

„Jest problem do omówienia, problem, problem”. Ton protekcyj-ny zwykle nie wróży bezbożnych zaplątań, to nie jest zapowiedź wilgotna. Milczenie niepewnie przekracza barierę jęku, dłoń wyluskuje z siebie groch słów, pojedynczo stukających o blat stolika, jak lzy, których jeszcze nie ma o co przelewać w próżne, ale być może trzeba będzie, bo widzisz, „jest problem”.

– Ach tak. Jakieś białe wytrawne, dwa ra..., jak to nie pijesz, dobrze, więc dwa soki poproszę.

„Jest problem”. Palce, uspokoić palce, wargi oczyma rozproszyć, stopą wodzić bezzwrotnie pod blatem...

– Przestać mnie macać i tak się gapić, bo stąd wyjdę i nic ci nie powiem.

– Dobrze, mów, ale najpierw muszę cię pocałować.

– Dość – Tania zrywa się (różowa i ugotowana, wystarczy lekko stuknąć i zdjąć skorupkę, potem delikatnie utorować drogę do żółtka), ach, musi mieć prawdziwe kłopoty, skoro tak się broni, dobra, dobra, siadaj, tylko nie mów, że jesteś w ciąży.

– Jestem w ciąży – mówi i czeka na odzew.

– Och, najmiłsza, to cudownie, kiedy ślub? – cynizm nie maskowany; wyczuła, wie, że on wie, że to próba, nabrzmiewa wrzód kłótni, zrywa się wicher wyjący, zaraz ją wymiecie razem ze stolikiem, garderobą, wróci po torebkę, potknie się albo złamie obcas, wytrzyma do drzwi, żeby makijaż mógł spłynąć w ciemności bocznych ulic, którymi będzie wracać do domu, tym wolniej, im bardziej tracić będzie pewność, że za nią biegnie, że zatrzyma, przeprosi, niedoczekanie.

– Kpisz, prawda? Myślisz, że chcę cię wypróbować?

Który to już raz, dziecino. Chcesz mi powiedzieć, że tym razem naprawdę, że kobieta to czuje, że się boisz, że ze mną to nigdy nie można poważnie.

– Mam taką nadzieję – odpowiada Witold i już go tu nie ma, przy stoliku, niepotrzebną kobietę z niepotrzebnym problemem zostawiając szuka gdzie indziej, pod innym numerem, w innej opowieści. Jeszcze siedzi i słucha, Tania coś mówi, tak, udawała, ale okres jej się opóźnia i nie wiadomo, co z tego będzie, „jak to, co, co miesiąc ta sama historia, szczerze mówiąc, mam tego dosyć, zdecyduj się, czy chcesz rodzić małych katolików w rocznych odstępach, czy chcesz się pieprzyć, bo jeśli tak, to wyobraź sobie, że są takie piguleczki, wiesz, takie kolorowe, można je połykać, spytaj koleżanek, to ci wytłumaczą, to całkiem proste, może zrozumiesz”, „ty chamie, ty podły prymitywie, i ja miałabym mieć z kimś takim dziecko, och, zostaw mnie, wynoś się stąd i więcej tu nie przychodź, nie dzwoń, to koniec, och”, „służę uprzejmie, tylko uważaj na makijaż”, „wynoś się!”, więc idzie pod prąd, pod prądem, przedziera się przez powietrze, byle dalej, byle nie było słychać tętna, a wszystkie drogi prowadzą do gniazda, tyle że i ono obmierzło; staje pod drzwiami i nasłuchuje, dwa komary natrętne, słowotok Luizy i Antoniego, ich lista pomysłów na egzekucję Witolda, o nie, nie zaszczepił się jeszcze przeciwko wściekliwości, nie może ryzykować pogryzienia, jest przecież zawsze kilka ofert wieczornych, z których można skorzystać darmowo, idzie dalej, dużo dalej, zwalnia dopiero, kiedy czuje delikatne stygnięcie.



Nie, Gabryniu, wszystko w porządku, tylko mi w domu mózg czeszą pod włos, mogę przyjść, tak, jak się umawialiśmy, jakie kolo, jak mechana, mój Boże, co za niezgrabna hiperbola, hi-per-bo-la, nic, źle cię słyhać, w łóżku ci wytłumaczę, nic obraźliwego, proszę, pozwól mi przyjść, będziesz mi mogła zrobić obróbkę ciepłą, tak jak lubisz, będę posłuszny, obiecuję, dobrze, tylko na godzinę, tak, całuję, pa – Witold odkłada słuchawkę i smakuje nowe zaklęcie, „kolo z mechany”, abra-kadabra kolozmechany, Kolo z Mechany – hm, wieś albańska, tysiąc dwustu mieszkańców, Kolo z Mechany – rzymski myśliciel, twórca metafizyki kwantowej i autoerotyzmu moralnego, niech żyjesz, studentko metalurgii. Co się pieklisz, babsztylu, nie moja wina, że co drugi automat zepsuty, ja też mam sprawy życia i śmierci, czy są jakieś inne, jestem samotny i zagubiony, nikt mnie nie kocha, w dodatku nie służy mi tutejsze powietrze, jak się zaciągnę, to rzygam, rzygałaś tak kiedyś, żeby się przerzygać na drugą stronę, no i co mi stukasz, ach, dobrze, przepraszam, już wychodzę, rączki całuję, nie warto, nie ten zestaw perfum, nie będę z tobą wstępował w związek dialektyczny, nie liczyłem na epifanię seksualną na poczcie. Brz, zimno, mokro, gdzie to mieszka nasza Gabrynia, tramwajem by trzeba podjechać, ładnie się ta latarnia w kałuży odbija, gdyby nie było tak zimno, wartaloby postać, kałuża, kałuża, co to z tą kałużą ostatnio, ach, Sławomir opowiadał swój sen, letni skwar w jakimś wyludnionym mieście, idzie po wysuszonej ulicy ze swoim ojcem, pył się unosi z każdym krokiem, powietrze twarde jak prekambryjski koprolit, idą, ciężko, duszno, pić się chce pustynnie, ojciec przeciera pot spod kapelusza, na horyzoncie majaczą optyczne kałuże, ale jedna z nich istnieje naprawdę, zbliżają się, piękna, duża kałuża pośrodku suchego duktu, ojciec zdejmuje buty i karpety, podciąga nogawki i wchodzi do wody, a raczej wpada, znika natychmiast, wciągnięty w nadprzestrzeń kałużowej czarnej dziury, zostaje tylko kapelusz unoszący się na powierzchni, miasto staje się Sławomirożernym molochem, nie pozostaje nic innego, jak tylko obudzić się z krzykiem, uświadomić sobie, że ojciec nie żyje od dekady, a za oknem ptaki rozdziobują strup kaca.

Oddychanie do siebie, w sobie, post coitum.

– Wituś, Witeczek, Witulek, Witanek mój – mówi ona, która ma imię, której zbiera się na języku słodka wdzięczność, która nagle czuje

w sobie centrum, która przez chwilę rozumie tajemnicę istnienia, która jest kwarkiem, monadą, prajednią, big-bangiem, która wszystkie rozumy przejmuje dreszczem, której dzwonią wszystkie kościoły świata, przez tę chwilę, dla tej chwili, dla której warto zgasić światło.

– Gabryniu, przepraszam, że macę nastrój, ale czy nie jest już trochę za późno, żebyem zdążył na ostatni tramwaj?

– O Boże! Moje kolokwium, nie zdązę się nauczyć! – oto jest koniec nabożeństwa, zapala lampę, patrzy na zegarek, łapie się za głowę, szuka majtek, „Matko Boska, całą noc zarwę, musisz stąd iść, matka się wścieknie, jak zostaniesz”, *da capo al fine*, kiedy Witold z ulicy będzie spoglądał w jej okna, ale żadnych pożegnań mimicznych nie będzie, studentka z przypadku Gabriela T. będzie się uganiać z bacikiem za niesformnymi myślami, będzie je skutecznie tresować, jak lwy w cyrkowej klatce, wyrwane w środku nocy do nieoczekiwanego treningu, rozdrażnione, rozkojarzone, będzie biegać bezładnie oczyma po tajnikach mechaniki, ale nie chciane rumieńce nie dadzą się skupić, ani zasnąć i z nożem na gardle się wyłoży na sprawdzianie, i poczuje boleśnie, że całość ma swoje centrum gdzie indziej, i że nie rozumie niczego, a tym bardziej spraw tajemniczych, i Boże jaka ja jestem głupia, wyleją mnie na pośmiewisko i skończę jak handlara albo garkotłuk, tak jak mówiła mama, jak ja się tego nauczę, a wszystko przez niego.

Śnieży. Lawiny pyłówki z dachu. Jeszcze wczoraj mokry szmelc, kałuże, lukrowany latarniami asfalt, a dziś śnieży. Widzisz, robaczku, już dwie pory roku, jak cię wywiało z gniazda. Luizoantós już pewnie ma nadzieję, że umarłeś na piorun ognisty z nieba ci należny, albo ostrze w ciemnej bramie po rękojeść się zanurzające. Lament telefoniczny, drogi, międzynarodowy, już pewnie odbyty:

„Marysiu, córeczko kochana, proszę cię, przyjedźcie po tego andrusa, powiedz Jasiowi, że ja już zawału dostaję przez niego, no co on wyprawia, ludzie na świecie, dzwoni bez przerwy i sprowadza tutaj takie furlepy, że to się w głowie nie mieści, Jeżeś, Jeżeś, ani nic się nie uczy do tych studiów, na wykłady nie chodzi chyba, no bo jak śpi do południa, to kiedy ma chodzić, jak Boga kocham, ja już dłużej tego nie zniosę, a Antos też ma go dosyć, tylko się cały czas wstrzymuje, żeby mu nie przylać, no i biega bez przerwy, już te nerwy go całkiem spalają, bo jeszcze nigdy tak

nie biegał, nawet po ulicach biega, ludzie zaczynają gadać, a ten wisus Witek ciągle pyskuje, serca nie ma, pyskuje babci i wujkowi, żadnego szacunku, no a wczoraj, Jeżeś, mnie się już duszno robi, wczoraj to mnie wziął i zamknął w kuchni na pół dnia, ty sobie wyobrażasz, myśmy chcieli z Antosiem na policję dzwonić, bo to przecież normalnie nienormalne jest, żeby mnie zamykać na klucz i nie wypuszczać, cały dzień w kuchni przesiedziałam, znaczy pół dnia, a jak mnie Antos wypuścił, to się aż poplakałam, no i postanowiliśmy, że gamonia na noc do domu nie wpuścimy za karę, ale ty sobie wyobrażasz, on nawet nie przyszedł, tak jak mnie zamknął po obiedzie i poszedł, tak go nie ma do tej teraz, gdzieś się szlaja, a teraz nawet do domu nie wraca, to ja się pytam, co to za wnuk, kiedy on nas wszystkich tak traktuje, Marysia, a może wy byście mnie przystali te Witkowe marki, ja bym mu wydzielala, nie, nic bym dla siebie nie wzięła, ale dostawałby tylko, gdyby powiedział na co, no powiedz, nie szkoda ci chłopaka zmarnować, Jeżeś, Jeżeś, córciu kochana”, ale Marysi jest bezpiecznie w pustym, dalekim akwarium z jednym zapracowanym samczykiem, akwarium urządzonym i odkażonym z pedanterią wyuczoną w nowej ojczyźnie, Marysia zna cenę świętego spokoju, kocha syna, ale najlepiej jej to wychodzi na odległość, pamięta doskonale strach rosnący z każdym dniem, kiedy dziecko zaczęło dojrzywać tak szybko, za szybko przestało być cudownym, mądrym tłuszcioszkiem, kiedy przestało zadawać dziecinne pytania i zastąpiło je takimi, na które ze wstydem nie znajdowała odpowiedzi, kiedy skończył się jej repertuar bajek skutecznie kojących nocne lęki, kiedy zaczął się oddalać w swoje wiersze, swoich filozofów, swoje zamyślenia, kiedy po raz pierwszy podniósł głos na ojca używając słów, których potem nie mogli znaleźć w słowniku, kiedy przeprowadził pierwszą taką chudziutką, ale zaraz potem inną, i jeszcze inną, „bo ja mamusię ciągle szukam”, kiedy zdał na studia, których kierunek nie mieścił się w głowach ludu pracującego, „jak? etnografia? to pewnie coś dla pedałów”, pamięta wyrzuty sumienia jakie wzbudziła w niej ulga, ulga, którą poczuła wbrew sobie, wbrew instynktom, wbrew powinnościom, kiedy powiedział, że zostaje w kraju, że będzie mieszkał z babką i niech się o niego nie martwi, wyżyje ze stypendium, wyrzuty sumienia, które spłaca regularnie w wysyłanych pocztą dewizach, w listach, w telefonach kontrolnych, „jak ci się żyje, wystarcza ci pieniędzy, a babcią się nie przejmuj, ona już stara jest i nic nie rozumie, postaraj się być dla niej

dobry, to w końcu dzięki niej masz dach nad głową, wujkowi też w drogę nie wchodzi, bo to dziwak, wiesz, stary kawaler, z tym bieganiem ma fioła, pewno ci zazdrości tych dziewcząt, pa, całuję, napiszę, zadzwonię, tatuś cię pozdrawia, masz mu napisać jak grali nasi chłopcy, podobno grozi im druga liga, no to już kończę”.

Śnieży, robaczku. Szczeniaki szaleją po podwórkach.

– A wy to co, chcecie tu przezimować? – pyta Witold, wydechając parę, rozcierając dłonie, pociągając nosem – na kość przemarziłem w nocy.

– Nie mamy wyjścia, stary – odpowiada Sławomir znad zlewu, poranny mors Sławomir, poeta o brodzie dostojnej, dzięki której oszczędzić można zbędnych wydatków na krem, pędzel, maszynkę *etc.* – To jest najtańszy lokal w okolicy.

Witold rewiduje tomiska, zastępujące jakiegokolwiek wyposażenie mansardy; książki stoliki, książki biurka, książki pościel, zimne książki, niejadalne książki.

– Ale grzejnik byście sobie mogli pożyczyć.

– Nie marudź, misiu. Trzeba się hartować. Jak przymrozi, to Egon przygrucha jakieś śmieciary, żeby nas grzały dupami.

Sławomir wyciera się do wilgotnej szmaty i zaprasza Witolda do toalety.

– Dobra, myj się, jak chcesz i wychodzimy.

– Ostatecznie możecie palić książki – to nie był dobry dowcip (Sławomir patrzy spode łba), nie, nie będzie się mył, nie będzie z niczego korzystał, nadużywał gościnności.

– Dzięki za schronienie, odwdzięczę się kiedyś.

Zdjęcie na ścianie, zakurzone; drobna, czarna, z dużymi smutnymi, otulona kocem, z książką w rękę, patrzy w obiektyw.

– Co za jedna?

– Poprzednia lokatorka. Ale nie licz na nic, misiu. Zdefektowana. Palma, znaczy się. Wiesz, z dnia na dzień, stary, iluminacja, ścina włosy, rzuca studia, idzie do zakonu, czy sekty jakiejś, nie wiem dokładnie, po dworcach szuka bezdomnych, ściąga darmowe zupki, odjechała na zawsze, mówię ci.

Szczęk klucza, schody, mokry śnieg sypie się za kołnierz, bar mleczny, kakao, jajecznica, bułka z serem, mlaskanie, mleko na wąsach, (ilumina-

cja, powiadasz), uliczna magnateria zamawia bigos (odjechała na zawsze), ile dni się trzeba nie myć, żeby tak śmierdzieć, jak myślisz.

– Nie wiem, misiu – Sławomir wyciera nos serwetką – ja będę już musiał lecieć. Wpadnij, jak co.

Zapina się, wstaje, odnosi talerz, wychodzi.

Idź już, idź. Spiesz się do pożyteczności. Niech ci się wiersze ładne i mądre piszą, z ideą koniecznie. Dostaniesz w końcu nagrodę za „liryczny wizerunek naszej nowej rzeczywistości” i będziecie sobie mogli kupić grzejnik, albo i nawet mieszkanie z centralnym. Uczęszczaj na spotkania autorskie, nawiązuj kontakty, podsyłaj teksty, koresponduj, bywaj, pokazuj się, wypijaj bruderszafty, jak trzeba dawaj dupy, a jeśli mimo to cię nie docenią, zawsze możesz wypłynąć na krytyce, napisz pamflet na jej największego wieszca, nazwij go kabotyńcem, idolem gówniażerii, włóż kij w mrowisko, na pewno ci się uda, jesteś przecież młody i płodny, masz takie śpiewne rymy, deklamuj, włóż garnitur i deklamuj, powiedz wszystkim, że poezja jest twoją religią, że jest święta i drwić z niej nie wolno, ach, i koniecznie zgól brodę, kiedy już uznają cię za swojego, z braku konkurencji.

– No i jaki jest – pyta Witold wynurzając się na piaszczysty brzeg plateau.

– Słodziutki – kłamie Gabrynia wypłukując resztki spermy wodą mineralną.

– Każda mówi co innego.

– Co. Pytam cię, co.

Miłość nie. Miłość czysta, pierwsza, zdobywana miesiącami, krok po kroku, od delikatnych dotknięć dłoni, włosów, przez niezgrabne pocałunki ze zderzającymi się zębami, z niesforne wymykającymi się w stężenie uśmiechu wargami, z cmoknięciami nie mającymi wiele wspólnego z prawdziwym, głębokim, oglądanym w telewizji pocałunkiem, z obowiązkowym listkiem figowym ciemności podczas pierwszych uwertur pieszczotliwych, przez ubranie nabywanej *episteme*, nocy nieprzespanych z winy zapachów, którymi przesiąkała garderoba, pierwszych odslonięć płochliwych, niepewnych siebie, z interwałami na dni powszednie, pojedyncze, przeczekiwane, przetęsknione, zapisywane listami i poematami, z modlitwami do cudzych bogów o „zawsze z nią”, o „aż do śmierci”,

o „niech nigdy nikogo innego”, o „niech się już stanie”, z wyczekiwanyymi wyjściami rodziców do kina albo na urodziny, z Tymi dreszczami, których już nigdy potem, taka miłość na początku i na wieki wieków nie, już nie, tylko raz. Korzystanie regularne z ofert podskórnych, lepkich, gotowych, dostępnych, otwartych, pierdzących bezwstydnie włączanym powietrzem, pojemnych, zachłannych, to też nie. Poezja nie, bo wiersz musi mieć adresata. Wiedza nie, bo im więcej wiedzy, tym nadziei mniej. Bóg; na miłość boską, Bóg nie. Powinności, sumienie, przywiązanie – nie, nie, nie. Oświeć mnie, odnow mnie, zbuduj mnie. Co. Pytam cię, co ma być tym moim światłem?

– Łaska Pana naszego jest wszechmocna. Musisz wierzyć, że Chrystus cię kocha i czuwa nad tobą. Zaufaj mu i powierz mu swoją grzeszną duszę – mówi drobna, czarna, z dużymi smutnymi, otulona w habit, z biblią w rękę, patrząc w twarz Witolda, który nie widzi w niej niczego, co usprawiedliwiałoby wizytę na tym dworcu, nie widzi odpowiedzi na pytania, nie poza tępym spojrzeniem kobiety odartej z płci i rozumu, nie słyszy nic poza pociągami dającymi na zapowiedzi, kibicami pożytkującymi akustykę głównego hallu, nie czuje nic poza smrodem bezdomnych, nie czuje powołania ani współczucia dla tej biednej wariatki, Sławomir miał rację, nie ma tu czego szukać, więc gdzie, jak, w czym, w kosmetykach mijanych kobiet, w ich płaszczach, obcasach, krokach, w liście niepotrzebnych numerów telefonów, wizytówkach, zdjęciach z wyznaniem na odwrocie, dozgonnymi acz zdezaktualizowanymi, w banknotach, we wszystkich papierach bezwartościowych, które wyjmując z portfela kolejno i wrzuca do studzienki kanalizacyjnej, a potem nie czując się jeszcze ani trochę lżejszym idzie coraz szybciej, za miasto, za rogatki, za wysypiska, szybciej, truchtem, wreszcie biegnąc równym tempem alejami parkowymi, przed siebie, już z prądem, z wiatrem, czując przyjemne tarcie, czując jak pędzące powietrze zmywa z niego obywatelstwo, tożsamość, strach, zmysły, czując, że wystarczy biec, że póki biegnie, jest bezpieczny, bez miłości, dreszczy, poezji, wiedzy, Boga i wszystkich myśli, które tyle ważą, a które wystarczy po prostu wybiegać, biegnie i widzi Antosia, a za nim jeszcze kilku obcych mężczyzn, i jeszcze innych, wszystkich biegnących z taką samą błogością w oczach, z takim samym ukojeniem, więc i on może je osiągnąć, jeśli tylko będzie biegł, długo biegł, więc biegnie.



## Zianie

– Mm, jak pani dzisiaj ślicznie pachnie – mówi Basieńka do K. Nędzy, jeszcze młodej przecież, jeszcze kobiety, a już znającej wyrok dożycia panińskiego i pogodzonej z nim pokornie. K. Nędza zżyma się na każdy komplement, o ile nie prawią go męskie usta; a męskie usta (och), a męski, estetycznie przycięty zarost, a męski pot, głos (och); a rymy, rymy męskie pozostają jej dostępne, także żeńskie i nijakie, które omawiać, przerabiać (w aniołów) jej przychodzi w zastępstwie za tę schorowaną zdiurę Ninę. Do tego cała ta dzieciarnia tak drażni, ta hałaśliwa zgraja, której nie można ujarzmić w żaden sposób, te małoletnie idiotki skarżące, donoszące i podlizujące się na nieograniczoną ilość metod ośliżgłych, Chryste, czego ta chuda gówniara chce, „jak pani dzisiaj ślicznie pachnie” poczekaj, kaktus mi wyrośnie jak dostaniesz wzorowe zachowanie.

– Jeśli będziecie cicho, to nie zrobię lekcji. Zajmijcie się pracami domowymi. Ale uwaga: zaczną się szmery, to robię dyktando – mówi i wyjmuje nowy kwartalnik z artykułem Janusza. Odnajduje i zaczyna czytać o rewaluacji (och, cały Janusz, taki akademicki) systemów moralnych w obliczu teorii Darwina, odpina guzik i masuje sobie obojczyk, cały Janusz, zsuwa pantofle i pociera o siebie bosc stopy, cały Janusz się w niej mieści, Janusz, który teraz pewnie pilnuje ósmej b na sprawdzianie z drugiej wojny, och, męski, estetycznie przycięty Janusz (Boże, co ja głupia...).

– Proszę pani, a chłopcy robili zawody w ubikacji kto wyżej nasika na ścianę, sama widziałam – Basieńka szepcząc do ucha, Basieńka obmierzała tak, że aż chciałoby się ją za kudły wytarosić; K. Nędza odsyła Basieńkę do ławki, „Ty mała świntucho, na godzinie wychowawczej wytłumaczysz klasie co robiłaś w ubikacji chłopów” i wraca do Janusza, i pociera i masuje i czyta. Basieńka płacze („oni to robili w damskiej ubikacji”), potem wyciera nos i rysuje w zeszytcie szubienicę dla Nędzy.

Są jeszcze chłopcy, natłok chłopców pozostających w permanentnym stanie gotowości do wszczęcia powstania, zwłaszcza że ta Nędza, choć wychowawczyni, to z polskiego ma tylko zastępstwo i może im skoczyć, nawet jak napiszą róda dópa na sprawdzianie, to takie dwóje się nie liczą. Bomba w końcu wybucha w ostatniej ławce, gdzie Rosiek Przemyskoń prosi Radka o pokazanie zeszytu z autografami w celach porównawczych, po czym spluwa specjalnie spreparowanym gilem wprost na podpis trenera reprezentacji. „Ryj ci skuję, gnoju jeden” – czy coś w tym rodzaju, w każdym razie na tyle głośno, że Nędza podnosi głowę i staje się świadkiem bezpośrednim zwarcia, krzyczy „Dość tego!” i zaczyna represje. Linijka twarda, niech poczują gówniarze, niech popamiętają, ich dzieci będą już pewnie miały osobny kodeks na nietykalność, ale na razie jeszcze można jednemu z drugim wybić bambusem chamstwo.

I tak dalej, do dzwonnka – potem jeszcze siódma klasa, dwie historie, jedna zaległa z zeszłego tygodnia (nie puszcze ich ani minuty wcześniej), potem jeszcze fakultet. K. Nędza pilnie zawód wykonuje, K. Nędza wychodzi ze szkoły ostatnia, K. Nędza wykorzystuje każdy pretekst, by zostać na nadgodziny, bo w gnieździe K. Nędzy pojedynczym, nienaturalnym, przepastnym zieją przedmioty w ładzie dokładnie przewidzianym, znanym, zieję ich układ nie naruszony przez żadnego gościa (ach, męskiego), przez żadnego intruza, układ, który może sobie dowolnie zmieniać, dla siebie, tylko dla siebie, jak wszystko (ach). Idzie więc, kiedy już nie iść nie może, mija naturalne, parzyste, spełnione, kochane, konsumowalne, szczęśliwe, wózkowe, zakupne, juczne, bite, ale należące, umęczone, ale jakże wypełnione, jakże, po brzegi wypełnione męskością (och). Odwleka szczęk klucza znajomy w zamku znajomym, ławkę znajduje, siada i życie ogląda. Życie miłosne, we wszystkim, we wszystkich, w każdym stworzeniu oddychającym, które przecież kiedyś było spermą w pochwie (och), niczym więcej; w każdym bucie, ławce, huśtawce, smyczy, które to artefakty stworzyły ręce czegoś, co kiedyś było spermą w pochwie (och); i nie ma dokąd uciec; i nie ma, bo Bóg też jest męskimęskimęski (oooch).

– K. Nędza? No proszę, z parkiem ci jakoś do twarzy.

Janusz, Janusz, Jezus Maria, Janusz z psem, wyszedł na spacer z psem, durna, jak ja durna, pewnie pomyśli, że specjalnie siedzę, że wysiaduję i czekam, dlaczego tu usiadłam, co teraz będzie (oooooooooooooooooch).

– No i co tam? Na wycieczkę jedziesz z tymi swoimi bachorami?

– No, tak. (Och, mówię na jawie do Janusza.) Właśnie miałam cię zapytać, czy byś się nie wybrał... jako opiekun, wiesz. (Och, zgódź się, proszę, zgódź, pojedź, wyjedź z nami, to tylko trzy dni i trzy noce, och, noce, Januszu, który rozmawiasz ze mną na jawie.) W sobotę wyjeżdżamy.

– Niestety, droga koleżanko, od przyszłego tygodnia idę na urlop. Z małżonką zmykam, proszę ja ciebie, nad morze.

Ach tak, ach tak. Chryste, pewnie jestem znowu cała czerwona. Zaraz mi powie, że się rumienię. Ach tak, ach tak. Z małżonką. Nad morze. Słabo mi.

– Cóż, szkoda. Wiesz, przypomniałam sobie, że ktoś do mnie przychodzi (och, pomyśl, że mężczyzna, męski mężczyzna, och), a mam nie posprzątane mieszkanie...

Biegiem, biegiem, umyć się z Janusza, sprzątać, jeść, czytać, poprawiać klasówki, nakarmić papugi, naostrzyć nóż (mój Boże, nóż), nie czuć tej pustki w środku, pod skórą, pod kośćmi (Janusz też ma kości), och, uspokoić się, dłaczego się trzęsę, mamuniu.

Basieńka widzi stopy K. Nędzy, stopy w beżowych rajstopach, wzajemnie się ocierające, coraz wyraźniej, stopy rozbrane z czótenek na niskim obcasie. Nędza sama się rozbiera przez całe życie, tak jak (na razie) Basieńka. Nędza sama się myje tam, gdzie inne są namydlane męską (och) ręką, sama się naciera kremami, sama się naga ogląda i zauważa postępy starości przedwczesnej, w karze za nieużywanie na nią zrzuconej przez Boga (męskiego), widzi coraz więcej ciemnych, pojedynczych włosów wokół sutek, nad wargami, (męskich włosów; męski Bóg chce jej płeć odebrać); a przecież wystarczyłby dzwonek telefonu, albo do drzwi, takie dzwonki się zdarzają, jedno tylko dzyń, oj zdążyłaby podbiec, podnieść słuchawkę, albo otworzyć drzwi, przywitać, zaprosić, wpuścić (głęboko, jak najgłębiej). Pociera coraz intensywniej, a Basieńka widzi, że coś w tym musi być, skoro pani tak ładnie pachnie, to musi wiedzieć, co robi, więc warto by też spróbować potrzeć, więc i Basieńka zdejmuje pantofelki i bawi się stopami, palcami jednej smaga podbicie drugiej, delikatnie, ach, to wcale nie łaskocze, to coś więcej, niż tulenie się do poduszki, to prawie tak dużo jak zabawa pod prysznicem, albo jazda na karuzeli, kiedy

tak szczybie w dołku; i obie już pocierają, ścięгна wkładają w przerwy między palcami, obie pieszczą się, stopy palcami obmacują, głaskają, międlą, Basieńka jak pani, pani jak zwykle, dopiero dzwonek wyrывa je z korzeniami i uniemożliwia konkurs na imitację św. Teresy Berniniego.

Aha, znaczy znów koniec, schodami w dół, do wyjścia i dalej do domu, przez park, czy obok parku, wszystko jedno, dwa dni z rzędu się Janusza przypadkowo nie spotyka, a nawet gdyby, to co jej z tego przyjdzie, skoro nie ma w niej nic, nic, tak boleśnie pusto, tak boleśnie sucho, tam. Nowe buty kupiła z podkutymi podeszwami, takie ekstrawaganckie trochę (Januszu, powiedz, że tak), założy je dzisiaj i wyjdzie, wieczorem, sama, gdzie bądź, wyjdzie z domu i będzie chodzić, stukać głośno, może ją usłyszy, ach, będzie chodzić, stukać, wymaluje się i włoży tę czerwoną suknię, tę z dekoltem, pójdzie gdzie bądź, na przykład pod dom Niny, tam, gdzie już tyle razy stała i patrzyła w okno na siódmym, patrzyła na cienie za zasłonami, dopóki nie zgąsło całkiem i nie wyszedł Janusz, jej cudowny Janusz, który przecież z małżonką proszę ja ciebie na urlop, który od roku prawie co wieczór miał kółko historyczne na materacu tej zdziiry i nikt się nie domyślił, ale Nędza wie, tylko dla siebie (jak wszystko), nie musi się dzielić tą wiedzą, choć przecież kiedyś dojrzeje do tego, by mu powiedzieć i zażądać (o mój Boże), nie, nigdy nie zażąda.

I oto biegnie nocą, bocznymi ulicami, aż iskry złote strzelają jej spod butów, taki Świetlisty Szlak, biegnie, żeby w porę się znaleźć na stanowisku, wypatrywać, oglądać teatr cieni, między topolami się ustawić i spoglądać, wyczekiwać. Oto stoi.

K. Nędza stoi powszednio, choć podświadomie odświętnie ubrana, podświadomie celebrując dziesięciolecie obrony dyplomu, a raczej imprezy na wyjście z uniwersytetu, w której brał przecież udział, w której (ach, czy to się działo naprawdę) i on brał udział, tak pijanie, tak całonocnie, tak tanecznie, a potem (ach, tak dawno, że się zaciera, że nie wiadomo, czy naprawdę), głęboko, jak najgłębiej, w pokoju pełnym zmorzonych snem pijackim, na cudzym łóżku, między końcem upojenia, a początkiem głątwy, z nim, w niej, och, Januszu, Januszu, niedoczekanie moje. Już niedługo, niedługo powinien wyjść, nie może przecież zostać na noc, dba o swoje stadło, dba o wiarygodność swoich poglądów, histo-

ryk musi mieć jasne i zdecydowane poglądy, musi się opowiadać, tak przecież powtarza, praktykuje, nawołuje, wierzy, bo jeśli się wartości nie wyznaje, wtedy nawet prawe życie nie ma pieczęci Pańskiej i na nic ono, na nic się nie przyda, tak jak dzieciom zmarłym przed chrztem, jak poganom, ot co.

K. Nędza w sukni czerwonej, oko przyciągającej ciemne i piekielne, nie spodziewa się, że podgląda, sama będąc podglądaną. Nie słyszy szelestów, chrzęstów wokół siebie, nie odróżnia mechanicznych dźwięków od naturalnych, nie zwraca uwagi, bo sama wypatruje, bo cała jest wzrokiem wlepionym w sąsiedni budynek, w okno na siódmym i drzwi wyjściowe, bo nie może przeoczyć odejścia Janusza, bo musi potem iść za nim, patrzeć, jak poprawia kołnierz, wyjmuje papierosy, zapala, przyspiesza kroku, czasem nerwowo zerka po bokach, jakby go jeszcze jakieś wyrzuty drapały po plecach; nie słyszy więc Nędza kroków za sobą na tyle wcześniej, by zdążyć się obrócić i krzyknąć, albo po prostu uciekać. Nie broni się, nie szarpie, zbyt jest zdezorientowana, kiedy czuje na ustach dłoń dużą i lepka, kiedy słyszy w uchu mokrym od śliny szept:

– Jedno piśnięcie i uduszę, oprzyj się kurwo o drzewo i nie odwracaj.

I czuje na szyi gorący język, a dłoń duża i lepka wyluskuje jej pierś, łapie mocno, trochę za mocno, ale nie wolno krzyczeć, duża, lepka i łapczywa dłoń, która mniej głodna mogłaby pieścić, i przewiduje każdy następny ruch drugiej dłoni, która nie oszczędza rajstop, ściga jej majtki niżej kolan, tylko tyle, by wystarczyło do wtargnięcia, Nędza ostatnie chwile przed nieuniknionym przyjęciem (głęboko, jak najgłębiej) anonimowego (Boże, jak to nazwać, członek, prącie, penis, chuj, kutas, przez tyle lat się nie uczyłam) poświęca na modlitwę do Janusza, żeby rozluźnić, nie zaciskać, żeby mniej bolało, ale i tak boli, pan Duży i Lepki nie ma czasu na grę wstępną, chce już pierwszym sztychem osiągnąć metę, pan Ciut Za Gruby nie ma czasu przeprosić za to, że ją rozrywa, to nie Janusz, to nóż w pochwie, nóż gruby i tępy, zbyt bolesny, by nie jęczeć, „mówiłem kurwo, że uduszę jak piśniesz”, dobrze, już nie będzie, nie będzie, Boże, zemdleć, umrzeć, żeby tylko nie bolało; K. Nędza mimowolnie ratuje sobie życie tracąc przytomność, pan Znienacka Od Tyłu pozostanie bezimienny, tym razem nie będzie musiał zabijać (do następnego gwałtu będzie to sobie poczytywał za wyraźny symptom powrotu do normalności),

K. Nędza mdleje więc, Anioł Stróż tyle może dla niej zrobić bez konsultacji z Najwyższym, na tyle może ugasić ogień, który trawi jej najczulsze połacie, ogień z zimna parzący jak ostrze gilotyny.

K. Nędza patrzy na swoje stopy, bosc, nieruchome, spod kołdry wystające jak spod śniegu, patrzy na swoje ręce wzdłuż ciała ułożone na prześcieradle, wodzi wzrokiem po ścianach bladobeżowych, pod stropem nieco przykurzonych, zerka i dziwi się, że sufit jest tak wysoko, że tyle ją otacza pustej przestrzeni, nie wypełnionej niczym trwałym, patrzy na stolik przy łóżku, bierze do ręki kartkę pocztową, „pозdrowienia z Kołobrzegu przesyła Janusz z małżonką”, ogląda dokładnie z obu stron, jakby coś jeszcze miało się wyłonić z prostokątnego kawałka twardego papieru, oszczędnie zapisanego mało wyrazistym charakterem, odkłada na stolik, chwilę myśli, bierze pocztówkę jeszcze raz do ręki i powoli odrywając po kawałku wkłada do ust, dokładnie przeżuwa i polyka, a niedobór śliny („od kiedy mam dopisane te czerwone pigułki tak mi ciągle sucho w ustach, czy pan doktor nie mógłby ich zmienić”) sprawia, że skrawek staje jej w gardle. Nędza krztusi się, łzawi, nie może złapać oddechu, więc przyciska guzik, pielęgniarka zjawia się prawie natychmiast i szczęśliwie pojmuje od razu meritum, podaje szklanke z wodą, uderza Nędzę delikatnie w plecy, potem przytula i mówi „no co pani narobiła, kto widział, żeby jeść widokówkę, jeszcze nam się pani udławi i co będzie?”.

Nędza dochodzi do siebie, uspokaja oddech, daje znać, że już wszystko w porządku, że nie chce towarzystwa, a kiedy salowa wychodzi, z trudem podnosi się z łóżka i człapie w stronę okna. Z nosem przy szybie patrzy na plac przy budynku, na zaparkowane karetki, na spacerujące postaci w fartuchach i myśli, że dobrze byłoby już wrócić do domu, tylko musi sobie przypomnieć gdzie to było, no i trochę rozplątać, ech, znaczy, porozplątywać myśli, no i zalepić tę dziurkę w mózgu, przez którą jej wycieka światło, bo na razie to prowizoryczny opatrunek i może się rozlecieć, doktor mówił, że, ech, zapomniała, ale coś mówił ważnego, taki ciepły, męski głos ma ten nasz doktor, taki (męski?), „wszystko będzie dobrze, pani Nędza, wszystko będzie jak najlepiej”, już wiem, musi być dobrze, żeby tylko nie było pusto, pusto.



## Ttadzik

Hop, hop, hej, hej, Tadzium, niech drgnie twoje oko, jak śpiewa nasz ulubieniec, uważaj, zażyj kropli na żołądek, albo ziótek się napij, albo zaśnij po prostu, śnij co bądź, byle twardo, bo myślę o tobie, bo opowiem o tobie teraz i czkawką w najlepszym razie mógłbyś się wywinąć.

Ach, stajnia wujka Jaśka, cóż to był za widok, kiedy Murzyn wyciągał tego swojego, hi hi, żeby się wyszczać, ach było podglądanie z dziewczętami, a te głupie podpuszczały, żebyś dotknął. Taki koń to ma, kurde. Albo świni, która nie zasłużyła nawet na imię, bo to tylko świnią zwykłą, do koryta nasikać, a potem patrzeć, jak się podnosi z kąta chlewu, podbiega i chłepcze, ale jajca, głupie świńskie ryło. Ale wszystko to nic przy podpatrywaniu ciotki Heli, jej twardych rąk, szorstkich dłoni, magicznych poruszeń, prawa-lewa, sik, sik, co Tadzium, chcesz podoić, chodź, nauczę cię. Nie, nie, ciociu, wołę patrzeć, mówiłeś, ale myślałeś siebie bym podoił ciotuchno, i kiedy tylko schyliła głowę ku ramionom Winochy patrzyłeś tam, gdzie ciotka kryła swoje wymiona, wysane już przez trójkę córek, ale wciąż pełnomleczne. Ciotka była góralskim cudem natury, mamkowała wszystkim sąsiadkom, połowa wsi piła jej mleko, bo co miała z nim robić, kiedy od rana zbierało się na nowo, przez całe lata, i nawet wujek Jasiek codziennie musiał na czczo spijać, jeszcze przed pacierzem, przed wstaniem z łóżka, a i tak piersi miała nabrzmiące i pełne, aż wreszcie doszedłeś do wniosku, że skoro ciotka ciągle nie wydojona, to musi ją boleć i pewnie to ona tak ryczy z pola, kiedy wieczorem po krowy idzie, a niesie się ryk aż po Hawrania.

Ale nie tylko stajnia, bo i kuchnia, obejście, pokoje gościnne, wszystko pachniało zielskiem i drzewem i kornikiem, a nade wszelkie inności wybijało się mmleko, nadmiar mmleka, który ten dom nawiedził jak niechciane błogosławieństwo, ale we wsi mówili, że to święty znak, że tylko szczęście z tego być może, bo jak jest mmleko to nie ma głodu,

a głód może przyjść raz dwa, jak zaraza, i jeszcze się schodzić wszyscy będą do wujostwa na zebry.

Ale co tam ciotka, nie dla ciebie do wydojenia, boś za młody i mmleko pod wąsem miałeś. Toż córki, ach, siostrzyczki trzy w sam raz dla ciebie, zdrowe, jędrne, odchowane dzięki mmleku, rok w rok rodzone, wiec każdej już zakwitło, co miało, u każdej różyczka płatki wypuściła i psiakrew, żeby tylko siano trzeba było układać. Trzeba było prawie codziennie, jak to latem, więc pracowałeś jak wół, żeby sobie wymościć ring sienny, na którym toczyć ci przyszło nierówne, zwycięskie boje z siostrzyczkami trzema w sam raz, szamotaniny poddaszne, raz z tą, drugi z tamtą, z najstarszą na deser, a najsmaczniejsze w tych bojach były przygodne odsłonięcia, w ferworze walki zdarzało się przecież zdrzeć spódnicę, uda zobaczyć dziewczęce, rzeźbione jak ulał, aż po majtusie bielejące, a czasem, ja cię chromolę, czasem tych majtus nie było, że niby tak po góralsku, a wtedy, lepiej nie mówić, wtedy, kurde, szłoby jak z dorosłą, normalnie ci stawał, co tu ukrywać, prostował się w portkach i nie bardzo było co z nim począć, no bo przecież odsłonięcie przygodne, bez premedytacji, dla zabawy tylko, więc jak tu tak po dorosłemu, chyba nie bardzo. I co z tego, że siano potem pod koszulą gryzło, że kurz w nosie i oczach, szczypawice we włosach, ale trzy dziewczyny miałeś i po wakacjach w kiblu chłopakom pokazywałeś trzy zdjęcia, wiecie, każda mi pokazała, każdej widziałem, a ta, o to jest Jadźka, najstarsza, już się całuje, i mnie pocałowała, gdzie zechciałem, mówię wam, już na jęczyczki, a za rok będzie o rok starsza i może więcej już z tego będzie, mówię wam.

Ale podziw z roku na rok malał, wiadomo, monotonia, chłopaki zaczęli się nudzić historią o góralczkach, ciągle tych samych, chłopaki na własne nogi zaczęli się uganiać, na własne oczy widzieli, nawet na własne jęczyczki, choć w miastach, w piwnicach, na podwórkach, nie na sianie, aż któregoś dnia Waclaw zapytał bezlitośnie: Tadzium, a dupczyłeś już którą? No i co miałeś powiedzieć, że widziałeś, że przygodne odsłonięcia, poza tym pocałunki w usta otwarte na oścież, Tadzium ja ciebie pytam, czy już dupczyłeś, a ty Waclaw, zaczekaj, jeszcze nie wszystko opowiedziałem, ale on wtedy dość tego chłopaki, idziemy, nie będziemy więcej gadać z tym prawdziwkim. I poszli jak jeden mąż za Waclawem, a ty, zaczekajcie, co ty gadasz Wacek, jaki prawdziwek, a on, prawdziwek jesteś, boś nie dupczył, i poszli.

Trzeba było temu zaradzić, i to szybko, czekałeś na wakacje jak nigdy dotąd, myślałeś, tak nie może być, teraz pójdzie jak z dorosłą, rach ciach i po wszystkim, jak nie z jedną, to z drugą, albo trzecią, najstarszą, wszystko jedno, czas najwyższy, mamó, tato, może byśmy pojechali już w czerwcu, proszę, tak się stęskniłem za wujkiem i ciotką, jak to nie możecie, dlaczego. Zenon, on już nie jest niemowlęciem, może przecież pojechać sam, wyślij list do Heli, żeby go odebrała na dworcu. Ha, heja, niech żyje życie, pociąg, pa, kocham was, szajbusku, nie wzięłeś biletu, och, dziękuję, a w Nowym Targu już czekała ciotka i cmok, Tadius, cmok, aleś wyrósł, cmok, cmok, zaraz przyjedzie autobus, w domu już wszyscy czekają, dziewczynki się cieszą, głuptasku, cmok, no wreszcie się napiszesz świeżutkiego mmleka. Przyjechałeś, są dwie w sam raz, ale jak to, jak to dwie, gdzie Jadźka, a ciotka mówi, Jadźka już pannica, nie poznasz jej, ho ho, już się dopytują, oglądają za nią kawalerowie, już nie mieszka z siostrami, oddaliśmy jej pokój na górze, swój pokój teraz ma, a idźże do niej, przywitaj się, he, ale przyjdź zaraz do kuchni, razem przyjdźcie, bo mmleko. Tak, była na górze, siedziała przed lustrem, żeby się doczesać na twój przyjazd, i to lustro, ów znamienny atrybut nadał jej takiej wyniosłości, takiej kobiecości, że ujrzałeś w pełni zmiany, jakich dokonał w niej rok przestępny, bo oczy wyobraźni miałeś bystre, zrozumiałeś, że istotnie przestąpiła już w coś wykluczającego definitywnie siano, przepychanki, zdyszania wzajemne, odsłonięcia przygodne, że już nie jęczyczek, a język, i zdaje się, że już szłoby, ach, z dorosłą, dorosłość w jej ciele i twarzy i spojrzeniu jakaś nagła, szłoby. Jadźka, powiedziałaś, wymówiłeś imię, choć i ono wydawało się nieaktualne, wymagało przeobrażenia w mniej zdrobniałe, ale przecież nie w Jadwigę, to załatywało jakąś średniowieczną świętością, no jak by to brzmiało, chłopaki wydupczyłem Jadwigę, i trochę zaniemówiłeś, i trochę znieruchomiałeś, a ona wydawała się coraz starsza, coraz dojrzała, aż ujrzałeś w niej, kurde, prawdziwie kobiecą kobietę, i to słowo uznałeś za najwłaściwsze, ale z ciebie kobieta Jadźka, i to było to, sezam się otwarł, ożyła, przemówiła, i było gadanie, i spacer po krowy, i języki wieczorne nad potokiem i wiedziałeś już pierwszej nocy w pokoju gościnnym, że dojdzie, ach dojdzie do tego, stanie się z kobiecą kobietą, hej, hej, wspaniałości, kochanie kochanie kochanko będzie, bo już idzie, hej, jak z dorosłą, chłopaki, to wam dopiero opowiem.

Nie od razu, miły, nie od razu, jak śpiewa nasz ulubieniec. Dzień po dniu, wzbierało w tobie, pęczniało w was, ale jakoś odwagi, jakoś okazji, żeby powiedzieć, zagaić, nie było. I owszem, były dotknięcia, wachania, całowania, wszystko, co dotychczas, ze zdwojoną energią, z potrójnym zdyszaniem, ale brakowało kropki, no kurde, nie szło się zdobyć, nie.

Ach, jesteś dziś jakiś taki jakiś, Tadziku, no wiesz, Jadźka, bo to tak jakoś, powiedz Tadziku, co dla ciebie mogę zrobić, ach, Jadziu, (dobrze wiesz, kurde) Jadziu, jak to powiedzieć. A ciotka kuchenna pogłębiała twoja melancholię, bo nic tylko co tak siedzisz, coś taki blady, może mmleka się napijesz, a tu przecież trzeba było rady dorosłej, męskiej, trzeba było impulsu, sposobu, bo czas uciekał, oj uciekał, a zgrzyzota puchła, bo jakoś ci ta niewdzięczna propozycja stanęła w gardle, to niezgrabne zapytanie, no bo jakże tu do kobiecej kobiety się zwrócić, w jakim słowniku znaleźć tę niefortunność, a może nie pytać, może w milczeniu się takie doniosłości działa powinny, chyba tak, inaczej można by sproszyć, a tu trzeba zachęcić, ale cóż, wciąż odwlekałeś, zwlekałeś, aż tu.

Chodźmy o świcie na grzyby, powiedziała na zakończenie dnia skwarne, w którym gorąco wam dokuczalo okropnie, i wyjątkowo się powiększało tam, to, w tym, kiedy ona tak przy tobie pachniała pod słońce, nad Białką, na otoczekach, ach, jak ci się podobała pod względem skórnym. Na grzyby, zdziwiłeś się, bo wyrosła już, jak się wydawało, z biegania po leśnych chaszczach, z wypraw do doliny za ilomaś tam wierchami, do której droga zawsze była za daleka, zawsze ring na runie jak na sianie, odsłonięcia, a zamiast szczypawic we włosach kąsanie mrówek, i kolana odrapane od gałęzi. Pomyślałeś, może to tylko kamuflaż, może w niej też już wezbrało nad miarę i użyła podstępny, szyfru, żeby dać do zrozumienia, żeby napomknąć mimochodem, więc podjąłeś grę, ach, oczywiście, z samego ranka, na grzyby, hejże ha.

No to przy mostku, o szóstej. Dlaczego przy mostku, możemy razem z domu wyjść, a ona, przy mostku mówię, o szóstej, cześć, i pomknęła w górę. Kurde, ale cię to wierciło, co za niespodziewanka się szykuje, jakie okoliczności się kłębią wokół tej nieodwołalności, więc było wyobrażanie, myślenie, całą nieprzespaną, a jakże, noc.

Aż tu szósta prawie, więc zziajany, raz dwa, zmięty i z piachem w oczach, i po co tak rano, myślący sobie, dziwactwo, ale cóż, tak chciała, stać się musi, rano, czy wieczorem, i tak się stać musi, biegleś na zła-

manie nad strumień, gdzie mostek.

Dobiegałeś, ale mgła i jeszcze słońce nie całkiem na nogach więc mrużyłeś oczy, co nad tym mostkiem, kto, bo jakbyś widział, ale nie Jadźkę, dobiegałeś, ależ tak, raz, dwa, trzy postaci, cóż na Boga, Rysiek, Mietek, Stasiak Browce, tych trzech kretynów z za płotu z którymi wojny i mordobicia co lipiec, ale przecież dawno skończone, bo miałeś przystąpić do stania się razem z kobietą kobietą, a nie z durniami wsiokami się zadawać po chłopsku, dobiegałeś i widziałeś wyraźnie, to nie mgielna halucynacja, to nie majak zrodzony z podniecenia i niewyspania, oni to trzej, prawdziwi, a Jadźka gdzie.

He, he, Tadzik, ciulu jeden, he. Śmiali ci się, aż by w mordę od razu należało, ale przecież Jadźka zaraz, więc nie wolno się wdawać w szarpnięcie, fason trzeba trzymać, dumnym być, bo oni jeszcze mmleko pod nosem, a ty już za momencik, już za chwileczkę będziesz z taką kobietą, że ha.

Co wy tu, zapytałeś, bo zbieg przypadków wymagał wyjaśnienia, a oni, na grzyby idziemy, tak jak ty, ciulu jeden, he. No jak to – a rakto. No ale – co ale. A Jadźki nie było może, przyjdzie przyjdzie, poczekaj ciulu, he. No co wy, ona wam też kazała przyjść, po co, he, he, patrzcie go, myśli, że tylko jemu z nią wolno, ciul jeden ceperski, he. I już miałeś za krtań łapać kmiotów, już bronić honoru, kiedy nagle usłyszałeś z za pleców, Tadziku zostaw ich, wszyscy musicie przejść próbę. Jadźka, to Jadźka, wyłoniła się z oparów jak nimfa, biała i zwiewna że ślinka, czysta i świeża że schrupać by, ale cóż za próba, jak to, czy to możliwe żeby kobieta kobieta błażnistwa jakieś wymyślała, czy to ona we własnej osobie urządziła taką dziecinadę, miałbyś stawać w jakieś tajemne szranki z tą hołotą, walczyć o nią z nimi, przecież dla niej przyjechałeś, z nią spacerować, języki, siano od lat, ona jedyna najstarsza dla ciebie w sam raz, tobie należna, bo przecież. Czemu więc nie machnąłeś ręką, czemu nie zostawiłeś tych słomianych trojaczków z nią, dla której już nic nie było warto, bo wielkie kłamstwo i podstęp i w ogóle, kurde, tylko splunąć, trzeba było powiedzieć niech was szlag i zawrócić w stronę domu, gdzie przecież jeszcze dwie siostrzyczki w sam raz, z którymi może szłoby, bo różyczki, płateczki i psiakrew, siano by właśnie trzeba poskładać. Czemu więc pierwszy zapytałeś na głos cóż za prośba, gotów choćby w ognień, choćby w ogniu kto dłużej, żeby ich spalone ścierwa Jadźki nie dostały,

nie mogło być próby, z której wyszliby zwycięsko, choćbyś miał podusić każdego z osobna, a po zwycięstwie, kiedy już chciałaby z tobą stać się, odszedłbyś, o tak, jak na filmach i poleciałyby napisy końcowe, a panie płakały w chusteczki panów. Nie gniewaj się Tadzik, ale Browce tu ze mną przez cały rok, Rysiek gawrę pokazał zimą za Niskim, Mietek koniczyny czterolistne znajdował, Stasiak na motorynce przewiózł, nie mogłam ich tak, Tadzio, sprawiedliwie trzeba, zaczęła się tłumaczyć, jakby jej nagle całe to głupstwo się ujawniło, jakby pojęła, że to nie był dobry pomysł, że już nic z tego się nie da uzyskać, tylko stracić, ale za późno, za późno, bo Browce sapały z niecierpliwości, trzeba było wyznaczyć zadanie, bo gotowi byli samosądem sprawę załatwić, najpierw ciebie w trójkę zbutować, a potem między sobą, kto silniejszy, po bratersku, psie nasienie.

Chodźcie, chodźcie za mną, powiedziała wreszcie, i poczapaliście w las, w ślad za jej kierpcami niedzielnymi, ani razu się nie obejrzała i byłeś prawie pewien, że płacze, żałuje, bo tak naprawdę chciałaby z tobą tylko, a nad nimi ją zwykła litość wzięła, i szedłeś dziarsko, wierząc, że wymyśli coś takiego, żeby nie mieli szans, żeby mogła powiedzieć, widzicie, nie nadajecie się, ja z Tadzikiem, z nim teraz będę, z nim się stanę, a wy do domu, no już, won.

W końcu się zatrzymała przy młodniku, odchyliła gałęzie, wy przepychając się włożyliście łby między liście, kurde, co to ma być. Jak to co, grzyb, ciulu ty, he. Widzę, że grzyb, kmiecie, muchomor, wielki jak parasol, i co z tego. A Jadźka, to jest wasza próba, kto mnie naprawdę kocha, ten go zje.

He. He, he. Ty głupia, dyć to trujok, potruć nas chcesz, Mietek był już poza konkurencją, sama se zjedz wariatko, Stasiak z bratem za pan brat, ale Rysiek był najstarszy, jemu nie uchodziło tak od razu rejterować, poza tym byłeś ty, wiedział, że jeśli się wycofa, wygrasz bez walki, czekał więc, bał się, ale raczej nie dowierzał, Jadźka musiała udawać, przecież wiedziała, że to śmierć w grzybie, kto ugryzie, padnie trupem, ach, więc chodziło tylko o to, kto ostatni zrezygnuje, kto najdłużej wytrzyma, chodziło o to, by przeczekać, wyczekać rywala, ach, ale oni wszyscy wlepili w ciebie gały, kurde, na ciebie czekali, teraz twoja kolej, żeby powiedzieć, opowiedzieć się, nawet Jadźka, myślałeś, patrzy i prosi w duchu, Tadzik, zrób coś, już prawie po nich, tylko z Ryśkiem coś musisz, coś



zrobić, a wtedy, ach, wtedy będę twoja, tylko twoja.

I czekaliście, zamarliście jak śpiący rycerze w tym wyczekiwaniu jeden na drugiego, a grzyb stał i coraz wyraźniej było widać plamy na czerwonym kapeluszu, bo świt już dojrzał i rosa i pierwsze dzwony na anioł, pojedynek trwał w ciszy i bezruchu, bo nic już nie można było powiedzieć, bo kto by się odezwał, przegrałby, to teraz już tylko o ciszę chodziło, o milczenie, kto kogo przemilczy, a potem z Jadźką, albo bez, jak w filmie. A potem stało się, Tadziku biedny, nie wiesz z jakiej przyczyny, z jakiego jaja się to szaleństwo wykuło, który pierwszy nie wytrzymał i ruszył w stronę muchomora, bo już tylko tam można było uciec od tego czekania, i pierwszy ugryzł, ale zaraz potem ten drugi, ty i Rysiek, albo Rysiek i ty, łamaliście po kawałku, i połykaliście, śmierć z grzyba, a Jadźka w ryk, dajcie spokój, żartowałam, no przestańcie, ale na nic jej krzyki, bo on jadł, więc i ty, przestać znaczyło przegrać, aż w żołądku zaczęło się zbierać, aż przylek coraz trudniej było zmuszać do przyjmowania kleistej i piekącej papki, ale on jadł, więc i ty, choć was szarpali, drapali, przestać, dość tego, wypluć to świństwo, Rysieeeeek, Ttadzik, Jezu, Ttadziik, bo on jadł, bo on jadł, aż ciemność, najpierw karuzela, a potem ciemność, jak w filmie.

No i tak właśnie przez miesiąc słuchałeś w szpitalu opowieści, tylko słuchałeś, bo od czytania zaraz mdłości, i od wstawania, chodzenia, wszystko mdłości, kurde, jak mdliło, opowieści też mdłące, jak to głupota szczeniacka, jak to cudem od śmierci, syneczku mogłeś skończyć jak ten Browiec, co mama mówi (mówienie też mdłące), czy on umarł, a coś ty myślał, tyle trującego grzyba zjeść, ciebieśmy ledwo odratowali, jak to, czyli przegrałeś, musiałeś zjeść mniej skoro żyjesz, ach, ileż mdłości od tego wszystkiego, wszystko pomieszane grzybjadźkastajniasianokibelchłopakirzyganie, i tak już na zawsze, Tadzik, do końca, miłość to mdłość, ból brzucha i wymioty, a więc z żadną, z żadną kobietą kobietą, dajcie spokój, żeby tylko nie mdliło, lepiej już trochę tego mmleka.

## Fetor

Skąd u ciebie to wachanie, kiedy się załęgł w tobie ten wzmacniacz, wyostrzacz zmysłu, czyż to nie wtedy, gdy babka zmarła? Mama mówiła, że jeśli tylko co złego, gdzieś w pobliżu, nie musi być nawet w rodzinie, ale blisko, choćby u sąsiadów, jeśli tylko co złego się miało zdarzyć, zawsze to wyśni, jedną, dwie noce wstecz, przyśni się jej złe i potem tylko czekać, zawsze się staje, śmierć, albo wypadek, albo choroba, zawsze, a wtedy nie. Nic, ani pół koszmaru, ale za to ten smród. Trzy dni mama chodziła po domu, z pokoju do pokoju, z kuchni do łazienki, na korytarz, do piwnicy, wszędzie jej cuchnęło trupem, do ciotki pojechała, siedzą, gadają, nagle Krysia, Jezus Maria, nie czujesz ty tego smrodu, trupem czuć, u ciebie też, Jezu, i gdzie się nie pojawiła, aż do lekarza ją zaczęli odsyłać ojciec z wujem, ojciec do psychiatry, że to już normalnie nienormalne jest, fioła masz babo i tyle. Ale pierwszy musiał odszukać, gdy czwartego dnia rano trup się pojawił. Babka mieszkała sama pod miastem, trudno było dojechać, więc rzadko odwiedzaliście, a i reszta rodziny się nie kwapiła, aż jakaś ciotka, tyle tych ciotek zawsze, pojechała, dzwoni, cisza, nikt nie otwiera, no i jakoś w końcu, czy sąsiedzi, czy ktoś, pomogli, włamali się, a tam babka już się zaczęła przyklejać do podłogi, upały były, a potem parne dni, burza wisiała prawie tydzień i nie zrywała się, wtedy gnicie najszybsze, lekarz powiedział, że babka była już gdzieś tak tydzień od zgonu przeleżana, a ciotka prawie zwariowała, nie ze strachu, bo trupów się naoglądała na pogotowiu przez wszystkie dyżury, ale ten smród, z tego smrodu traciła rozum, i lekarz i sąsiedzi, tak było czuć, potworność, a mama czuła trzy dni, wszędzie, no więc jest przeczucie, jest coś takiego dzieci moje, nie śmiećcie się.

Czyż to nie wtedy stałeś się wyczulony na wonność wszelaką, smrodliwą i pachnącą, węch mianowałeś samodzielnym selekjonerem, juro-



rem, ostatecznym decydem, a czy te jajka mamusiu na pewno nie za stare, a ta kielbasa, coś mi tak kwaskowato zalatuje, i z ludźmi było podobnie, jak ci się synku podoba ta córka Mielcarów, oj, mama nie czuje jak ona się poci, wprost nie do zniesienia, jak tylko zacznie ze mną rozmawiać, zaraz ten odorek. I tak już zostało, wszystko, co dobre, musiało mieć przyjemny zapach, co śmierdziało, było złe, co nie pachniało, nie istniało.

Drzewa rosły, pannon wiatr się plątał między udami, bo wiosna spódnice zadarła, chłopaki gadali o silnikach i filmach tajwańskich, a ty wpadałeś w nałóg. Zgubny nieco, bo podręczniki wolałeś wachać, niż studiować, poza tym cóż tam było do wachania, skoro to stare, po zeszlórocznych ośmioklasistach. Trzeba było kupować drogie, nowe, rodzic jeden z drugim dawali, bo to na rozum ci nie pożałuję, synu, czytaj ile wlezie, kształtuj się, póki możesz, ach gdyby wiedzieli, książek przybywało, siedałeś w fotelu i patrzyłeś na półkę, czasem podchodziłeś, dotykałeś, wodziłeś palcami po lakierowanych grzbietach, potem otwierałeś i zaciągałeś się jedną z odmian farby drukarskiej, im rzadziej otwierałeś, tym później zapach wietrzeła, gdybyś czytał, znikalby po kilku dniach, a wachać książki można miesiącami, o tak. Chłopaki zaczęli jarać po kiblach, no a w liceum to był wręcz obowiązek, kto nie jarał był mamincek, najgorsze, że dziewczynom też się to podobało, wkradaly się nawet, te odważniejsze, do męskich ubikacji na klubowego, bo mówię ci stary, papieros to nigdzie nie smakuje jak w klozecie szkolnym, ja to właściwie tylko tutaj palę, cała przyjemność w konspiracji. Jakżebyś śmiał zaprzeczyć, tylko, że ciągle jeszcze masz to zapalenie krtani, takie przewlekłe, ledwo chodzisz do budy, ale jak się tylko wyleczysz, to już z nimi pojarasz, że rany boskie.

Ale gdzie byś tam jarał, skoro w domu czekała codziennie używka tajemna, świeżutka, prosto z drukarni. Każde wydawnictwo miało inny zapach, zdarzały się ostre i trwale wonie ekskluzywnych albumów kredowych (ojciec nie skąpił), te najlepiej smakowały po kolacji, rano wolałeś otwierać cienkie pocketbooki wydane na podręcznym papierze i wietrzejące szybko, na szczęście mogłeś się w nie zaopatrywać w pobliskim kiosku, tam też kupowałeś prasę codzienną (mądry dzieciak, wszystko czyta, i gazety, nawet więcej ode mnie), prawdziwą feerię uroczej pospolitości, poranny dziennik był jak papieros bez filtra, no i nie trzeba było zamykać

się w kiblu.

Pierwszej się zdziwiło matce, może dlatego, że starość na nią spadła zniecka, bez podań o pozwolenie, z dnia na dzień, obudziła się któregoś dnia, weszła do łazienki i została tam ze dwie godziny, ojciec pukał, no cóż ci to, zemdlałaś, czy jak, a ona, daj mi spokój, daj mi spokój, no to ojciec już całkiem nabral pewności, że babsko zdurniało i po lekarza trzeba będzie dzwonić, wyszedł do pracy wściekły i nieumyty, a matka jeszcze długo siedziała, w końcu wyszła splakana, bez makijażu (pierwszy raz ją ujrzałeś za dnia wolną od szminek, pudrów i tuszy), tak, jak wyszła, została już cały dzień, przy garach, milcząca, tylko raz jej się wymyskneło, kiedy pytałeś mamę, co jest, ech, mnie to już teraz z górki leci, ani się obejrzę, a trzeba będzie się szykować, ale nie odpowiedziała, gdzie, więc pomyślałeś, że impreza jakaś u ciotki. No i ona pierwsza zaczęła podejrzewać, coraz częściej rozdrażniona, docinająca co rusz, może byś wreszcie wyjął nos z tych gazet, po ziemniaki poleciał, słaba jestem, ach dobrze, po ziemniaki, i biegnę, bo zaraz przy spożywcym był kiosk, a w nim jeszcze cieplutka popołudniówka, w sam raz na podwieczorek, ale matka nie dawała za wygraną, w szkole nie szło tak, jakby to mogło wynikać z twojej listy lektur, mamę, no co ty mnie sprawdzasz, wiesz, że jestem mól książkowy, nie zawsze to, co w programie ciekawe, mól to ty jesteś, pasożyt i lewus, dopóki świadectwa nie przyniesiesz, nie dostaniesz grosza na książki, no ale był jeszcze ojciec, a on profilaktycznie się matce sprzeciwiał, dało się więc coś uszczknąć, już nie na białe kruki, ale zawsze.

Zdarzyło się i tak, że powieść wpadła w twe ręce niezwykła, bo zapowiadająca treść pachnąca, przeczytałeś więc, w całości, jak nigdy dotąd, ale i nigdy później, bo zawód był srogi, to była historia jakiegoś maniaka, genialnego producenta perfum, co z tego, skoro czytanie o pachnidłach, których nie mogłeś poczuć było męczarnią, wpadłeś w depresję, w szkole już dawno przestali czekać, aż się wyleczysz, palili bez ciebie, wszystko robili bez ciebie, a dziewczyny się krzywiły, boś dziwak, pokurcz, no i najgorsze, mamincek.

A były godziny nocne nierzadko, gdy zbudzony jakimś chrapnięciem zza ściany przypomiñałeś sobie to przykre uczucie z dzieciństwa, tę

niemoc, jedyny zapach, którego nigdy nie czuleś, ale który załagał się w twojej wyobraźni jak larwa i tkwił gdzieś w bezpiecznej szufladzie mózgu wywołując niepokój – smród babki, ten, który mama trzy dni, trzy dni po domu, z pokoju do pokoju, z kuchni do łazienki, na korytarz, do piwnicy, trupem czuć.

Aż tu stypa jedna za drugą, tyle tej rodziny, a nagle nikogo, bo jakieś wypadki, choroby, matka ciągle miała koszmary, tobie przybywało bruzd na czole, i ojciec jeszcze parę drzewek zasadził, poprzycinał stare, i byliście jeszcze na rybach, właśnie miał opłacić kartę na nowy sezon, ale zwymiotował obiad i zmarł po kilku godzinach w szpitalu. Rwanie włosów z głowy, matko kochana, jak cię pocieszyć, wszystko się pokićkało, pokićkało się, synku, teraz jesteśmy sami, a ja już sił nie mam. No więc stała się pierwsza wyrwa. Czuleś najdotykalniej, że załatać trzeba ją rychło, bo inaczej powódź rzewności i leż się odbędzie, z której niewiele do wyłowienia i odratowania i tak nawet jakoś lżej to przeszło, niż ci wróżyli bracia współczujący, ale już nikt cię nie poniewierał, nabrałeś w oczach chłopaków i dziewcząt jakiejś dostojności przez tę śmierć, pólsieroctwo uczyniło cię dla nich kimś bliżej świata dorosłych, niż licealnej beztroski. Wtedy mniej więcej się zaczęło uwieranie, tak jakoś czegoś brakowało, ale więcej niż ojca, czegoś wewnątrz, jakby w natłoku zapachów wystarczających ci za rozrywki i nałogi i przyjemności coś się zapodziało, gdzieś głęboko w ciekłych pieleszach ciała wykluwała się myśl, że wszystko dotąd dostępne twoim nozdrzom było tylko prologiem do prawdziwej rozkoszy, ledwie przedśmionkiem, z którego należało się teraz dostać w głąb, ale czego, gdzie, dokąd.

No i ten dzień wreszcie, dajcie werbel, ten dzień tak parny i lepki, zwłaszcza w pysku autobusu, w godzinę powszednią, kiedy tłok i pot odstrasza nawet kontrolerów, i ty w tłoku i pocie wiszący na uchwycie, unieruchomiony przez nadmiar ciała i smrodu jechałeś, w tej miazdze, choć przecież można było pieszo, ale skoro już wsiadłeś, szkoda biletu. Drzwi blisko, niechże tylko otworzą, samo cię wypchnie, na wiatr, ach, przecież nie ma wiatru, ale choć powietrze, stojące, czy wartkie (oddech), uff, zaraz, zakręt, światła i już, (oddech), byle tylko drugą rękę, która zawieruszyła się gdzieś między, gdzieś tam, zdana na pastwę, żeby tylko ją zdą-

żyć wydostać, wyszarpnąć, (oddech), i już. Ale cóż to za przyjemność nieoczekiwana, oto niecny podszept podświadomości, a może wręcz szept świadomości kazał zawędrować ręce, ho, ho, ależ przemyślnie wykorzystując to zwielokrotnienie, tę wielką anonimowość ludzką, kazał włożyć dłoń pod materiał zwiewny, gdzieś tak pół metra na południowy wschód od pleców, poza zasięgiem wzroku, tam gdzie wcześniej zdołałeś wywąchać, zlokalizować, wyczuć pleć młodą i czystą, tam gdzie zdołałeś badawczo wymacać milczące przyzwolenie pośladek. Oto więc stopniowo, powolutku, nieznacznym ruchem palców ukrytych pod listkiem figowym tłoku podnosiłeś, podciągałeś rąbek spodniczki, aż zdobyłeś się na to, by wpełznąć całą dłonią pod jej powierzchnię, by zbliżyć się do wnętrza pulsującego ciepła, by zmierzyć temperaturę tego miejsca opuszkami, dobrnąłeś, dosunąłeś wreszcie do ostatniej granicy, do końcowych rogatek, do linii dzielącej dwa światy, znajdujące się po obu stronach gumki do majtek, miasto i suburbia, centrum i peryferia, a spod tego marginesu wystawały już pojedyncze jaskółki, fragmenty większej całości, twardziuteńkie włoski łonowe, których gniazdo było tuż tuż, a z tego gniazda nadciągała armia wilgoci, atakująca przez materiał, pożar i powódź w jednym, skroplone gorąco, do którego droga stała otworem, ale, cóż za bestialstwo, właśnie przystanek i zostałeś wypluty, i co z tego, że powietrze, co z tego, autobus pojechał, amen.

Połknął cię tłum i uniósł w przejście podziemne, i dalej, chodnikami, aż do jakiegoś zaułka, w którym można się było zaszyć w liczbie pojedynczej, pocelebrować sobie tę pojedynczość choć przez moment, i przyłożyłeś do ust palce, i poczułeśpoczułeśpoczułeś, i dęba stanęły włosy w nozdrzach, i krew naczynie każde wypełniła po brzeg, bo w miejsce braku i uwierania wtargnęło coś, no, ech, cóż to było, (oddech), ach, to jej wizytówka wysączona, to jej ekstrakt skropelkowany na twojej skórze, na palcu wskazującym, i trochę serdecznym, ach, jakże serdecznym w tej chwili, tylko tyle, a wystarczyło do szaleństwa i opętania i mamó, mamó, zakochałem się, przysięgam, nie jem, nie śpię, muszę szukać, znaleźć, ale kto synku, w kim, nie wiem mamuniu, ale dowiem się wszystkiego, tylko gdzie zacząć, może w autobusie, wariacie, gdzie lecisz.

Tak, w autobusie, w tej samej linii, dzień i noc, ale jak ją poznać, nawet jeżeli spotkasz, przecież jej nie widziałeś, nie możesz wkładać wszystkim kobietom palca do cipy, ale tylko tam spod pancerza perfum

można odczytać linie papilarne wnętrzości, jak więc dotrzeć, no jak, tyle smrodu, tu i tam, wszystko się lepi od smrodu, nie wywąchasz, nie odszukasz, już późno, zajezdnia, cały dzień bez celu, tyle biletów, a teraz zwątpienie. A może inaczej, ogłoszenie. Do wszystkich gazet, w głównej rubryce, za wszelką cenę. Data, numer linii, godzina, ale co dalej, jaki tekst, „to byłem ja”, „to była moja ręka”, idiotyzm, pośmiewisko, bezradność, och, czemu nie miałeś kataru, nic by się nie stało, nie zaczęło, a teraz.

Załopotało serce przez ten nos i wiedziałeś, że to się nie odstanie, wałęsałeś się bez pomysłu, licząc na traf, a potem przyszły dni, jeden po drugim, z gruchotem, już żadnych książek, trupów, już żadnego dzieciństwa więcej, synku, nie mogę patrzeć, jak się męczysz.

Były nadzieje, całe rzeki, płynęły mimo, aż w nie wpadałeś, potykając się o drobny szczegół, a to o rozkołysane fiołki na biodrach jakiejś uczennicy (właściwie to mogła być ona, więc może spróbować, zbliżyć się, zamknąć oczy i wciągnąć z całych sił powietrze, tak, miły zapach, meszek na karku, klasówka z matmy i chłopak w maturalnej, ale to nie to), a to o ten zaułek, w którym wtedy, po raz pierwszy, więc może w tych murach, w tym odrapanym tynku kryła się tajemnica, albo chociaż jej powidok, ech, były nadzieje, były dni. Od tej pory świat przyspieszył, ruszył z kopyta całą parą, aż tchu zaczęło brakować, błogosławiona powolność lat szczenięcych zniknęła gdzieś, z początku niepozornie, teraz już nieuleczalnie, wszystko się starzało, meblom trzeszczały kości coraz głośniejsze, matka zapominała coraz więcej, drzewa w ogrodzie przestały rosnać, schły, czasem znikwały, zostawiając po sobie nagrobki pniaków, które blakły z każdym zgęstnieniem szczeciny na twoich policzkach, mnożyć się zaczęły sprawy-do-załatwienia, całkiem-nieźle-interesy, potem praca pożyteczna codzienna czasochłonna, mnożyć się zaczęły znajomości powierzchowne, pieniądze, rozmowy, pijaństwa, urlopy, matka chora, ale potem jeszcze zdrowa, i znowu mniej drzew, więcej zarostu, i jeden z drugim kiedyś w knajpie, czemu się nie żenisz, czemu cię nie widują z jaką, może byś się przyznał, co taki cichacz, dajcie spokój, panowie, wszystko w swoim czasie, ale czas ciągle był cudzy, bo tobie się telepało między żebrami wspomnienie, bo rzeki nadziei ciągle płynęły, a mostów mało.

I nagle po matce. I wszystko dobiegło kresu, bo zobaczyłeś pusty dom, zrozumiałeś, że wszyscy pomarli przed nią i teraz już nikogo, żeby powiedzieć słowo, że martwość schodów, dywanu, garnków, fotela bujanego, Matki Boskiej Częstochowskiej, sterty krzyżówek, szafy pełnej sukien, paprotek, och, (oddech) (oddech), zaryczała ta pustka wzdłuż i wszerz, jakby ci wyrwali wszystkie zęby, nie potrafiłeś mówić, tylko seplenić, bo śmierć zaczęła zapusty, bo każdy oddech, (oddech) (oddech) był westchnieniem, i każdy ptak był łzą, taka samotność pospolita, ale przez tę zwykłość cięższa od bezsenności, od grzechu śmiertelnego, od śmiechu astmatyka, taka samotność pospolita, jak pierwszy raz w szpitalu, przed laty, ze złamaną nogą, kiedy w obcych intymnościach, prześcierałach, śmierzących lizolem korytarzach poczułeś, że nie jesteś pępkiem świata, że nikt ci głowy nie utuli, nie zakwili nad tobą, że odwiedziny dopiero pojutrze, ale wtedy jeszcze były odwiedziny, a teraz, (oddech), nigdy.

Rozplakałeś się węchem. Wszystkie zapachy, tysiące zapamiętanych przez lata woni zaczęło ci wylatywać nozdrzami, jeden po drugim, stawały w pełnym rynsztunku, silne i wyraźne jak nigdy dotąd, po czym znikwały bezpowrotnie. Człowiekowi w ostatnich chwilach staje przed oczami cały żywot, wszystkie przeżycia, cała pamięć skondensowana w pigułce, tobie jak zwierzęciu przypominały się zapachy, ale ty nie umierałeś, to umierało w tobie jeszcze jedno drzewo, trzecia część wieku przynależności, symbiozy, umierała przeszłość wtulona w przyszłość, zostawało wszystko, co terazniejsze, ruchome, pojedyncze. Mamo, mamó.

I potrzeba cię naszła spóźniona, ale tym bardziej intensywna, potrzeba wypełnienia, załatania, zasadzenia czegoś w tę wyrwę ostateczną, potrzeba instynktowna, pradawna, gromka. Rzewność wielka, powódź rzewności, bo oto z szeregu wyłonił się raz jeszcze ten zapach cudowny, ów skarb z autobusu, wyraźnie jak wtedy. Ach, czemuż zaniechałeś, czemu nie szukałeś należycie, byłby to kwiat do podlewania i rośnięcia w wyrwie, ach. Poszedłeś odnieść wrażenie do szynku, zbratać się z terazniejszością, skoro was śmierć wyswatała, ale tam oni, ci bez wyrwy. Kondolencje, a potem znowu, że zawsze cichacz, no czemuś ty jeszcze nie tego, ten. No, to pomyślałeś, czas, pora już, wszystko szczezło, nic nie wyrośnie, bo nie ma gdzie zasiać, i nie ma czego, przekleństwo, belkot, wódka, się nie odstanie, wódka, niech więc i to, prowadźcie, nie jestem



pijany, prowadźcie panowie do burdelu, chcę na kurwy, chcę na pizdy tanie wulgarnie rozdziawione, chcę peruk linejących, perfum podłych i różowych neonów, sztuczności chcę, kupić chcę sztuczność i lizać jej podbrzusze, ech, oddech, nic już nie zapachnie, chcę żreć, mlaskać, pora na mięso, chcę ścierwa, panowie, prowadźcie na ścierwo!

---

Poszliście, oni z przodu, z butelkami i śpiewem, z pocieszeniami, nie płacz, każdemu matka umrze, a nikt cię tak nie pocieszy jak dobra dziwka, ty za nimi, coraz mniej śmiało, wierząc, że w ostatniej chwili, tak jak w kinie, znajdzie się ratunek, że ona się znajdzie, wpadnie na ciebie zza węgła, a ty rozpoznasz i zaciągniesz się, a potem przed wami cała wieczność, wietrzność.

Ale nic, żadnych zbawień po drodze, lupanar cuchnął potem i sperma, kumple cię wprowadzili, przedstawili, zostawili, a tu trzy takie, jedna chuda, uliczność w nich tętniła i w rytm tego tętna zaczęły do ciebie mrugać i dotykać się, oblizywać i coś tam, że Kama, bogini miłości, albo jestem studentką, wie pan, albo ciągnę druta jak radiotelegrafistka, a ta chuda, prawie bez piersi, mam na imię Teresa, pomyślałeś, że to całkiem ładne imię, że skoro już trzeba, bo się nie odstanie, że to dziwne, ale ona nie ma zapachu, jakby jej nie było, to zadecydowało, już za nią szedłeś po skrzypiących schodach, po hotelowym korytarzu, otwarła jakiś pokój, ale był zajęty, mignęły ci nagie pośladki, trzasnęła drzwiami, przepraszam, zaraz coś znajdziemy, powiało stamtąd, (oddech), powiało jak gdyby czymś, (oddech), znajomym, och, poczułeśpoczułeśpoczułeś, dałbyś głowę, że to coś jakby pleć młoda i czysta, jakby ozon spokojny we krwi, w nagrodę za przetrwany szkwał, jakby piorun odległy tuż po burzy, która dopiero co nad głową, i stałeś pod tymi drzwiami, wiedząc, że teraz dopiero dostąpiłeś końca, wystarczyło otworzyć i zobaczyć ją, która tam z kimś, za pieniądze marne, podczas gdy trawiłeś lata na przeszukiwaniu manowców, inni ją kupowali, miłość twoją z autobusu, która mogła w wyrwę, dla której cierpliwość baobabu i wierność rzeki, i owo mityczne przyzwolenie sprzed lat stało się jasne, zmarnowałeś życie przez źle odczytany gest zawodowej zachęty, profesjonalne zachowanie kobiety publicznej, i świat ci zaśmierdział definitywnie, tak bardzo, że rozum pra-

wie odjęło, oddech, Teresa powtórzyła, chodźmy, zaraz znajdę pokój, a ty nie miałeś sił, bo raz jeszcze płacz nozdrzy, łyzy pod skórą, cierpkość, i nagle wyraźnie trup, trup się pojawił w powietrzu, w korytarzu, w piwnicy, smród trupi, potworność, w pokojach, na schodach, wszędzie.

## Impromptu

Kurzu pełno na papierach, i po biurku można palcem pisać, ale jak to zetrzeć, kiedy żeby zetrzeć, wszystko by posortować, poskładać, uładzić, zainteresować się, szmatkę znaleźć, chyba w kuchni – a ład parzy, a w nieładzie lęgną się pomysły – więc lepiej zostawić, może trochę zdmuchnąć, bo lęgną się też żuczki, od kurzu – rozgniotłem właśnie, plamka na kartce. Zabiłem, cicho chrupnęło, wyrzut sumienia gdzieś za kołnierz się wtelepał, zdarł naskórek. Czekam na pianino – przywiozą, to się ogarnę, odkurzę i łaps za pisadło, do nut przystąpię, nutatki porobię. Stare wywieźli, bo podarowałem szkole, nowego już nie ma dwa tygodnie, choć poszło zamówienie i miało być raz dwa. Nie gram, nie wychodzę, bo a nuż przyjdą i nie będą mogli się dostać, zostawią pod drzwiami, albo pod domem, deszcz nie daj Boże zaleje, czy ktoś ukradnie, taki delikatny instrument. Jeszcze jeden żuczek, chrupnęło.

Anula mówi, co z ciebie za kompozytor, toż u mnie też stoi fortepian (pianino, poprawiam), wszystko jedno, ma klawisze (no rzeczywiście), przyszedłbyś, zakomponował coś ( a stroiciel był ostatnio przed wojną), kompot mam dobry, od mamy mojej przywiozłam (z truskawek, mam nadzieję), to wolisz siedzieć i czekać jak nieboskie stworzenie, a oni cię tam mają wiesz gdzie, nie zadzwonisz, nie ponaglisz, to zapomną i tyle (obietuję, że przyjdę, jak tylko się wyjaśni, nie będę do nich wydzwaniał, bo tu nie o pośpiech idzie, jak rękodzieło na zamówienie, to się liczy precyzja, no a precyzja trwa, to nie tak szast prast, tak to można kupić calisję w sklepie, albo syntezator na komunię dla bratanka, Anulu, oni mi je r o b i ą, poza tym to dla twórcy dobrze tak trochę zgłodnieć, a potem rzucić się w wir, rozumiesz, szął artystyczny).

A właściwie, to możesz przynieść ten kompot. I pomogłabyś mi, wiesz, mam takie żuczki od kurzu.

No jak można w takim bałaganie, brud, smród i ubóstwo – tak mnie gani ta Anula i przegania z miejsca na miejsce, ze szmatą, z odkurzaczem, i firany trzeba zmienić, kto to widział tak żyć, artysta, wrażliwy na piękno, a takiego niechlujstwa nie widzi. Tak ślicznie wywija tą szmatą, że aż by się chciało to zagrać, no i znów mi się przypomina, że nie ma na czym, przykrość w mostku, ale zaraz sobie tłumaczę to, co zawsze, że dobrze zgłodnieć, a Anula właśnie dopadła gniazdo żuczków, i mówię jej, chyba się z tobą w końcu ożenię, a ona w rumień, w buraczkowate zakłopotanie, i zacha się wdzięcznie, ach, no to skosztuj tego kompotu. Potem siedzimy, pijemy, nogi zmieniamy założone, i pyta mnie widzisz, jak teraz ładnie, i odpowiadam, że widzę, że nawet powietrze jakby umyte, od tego sprzątania, tak pijemy sobie, pijemy.

Nie mogę, no nie mogę już doczekać się nowiutkich klawiszuniów, kosteczek słoniowych, złobionych podpór w kształcie lwich łap, secesyjnych świeczników, rzeźbionych uchwytów po bokach do przenoszenia (to już zbytek, ale cóż poradzić, tak było na zdjęciu), wszystko będzie skopiowane co do joty, jakże ja się napatrzę, nadotykam, nagram, niech tylko przywiozą wreszcie.

A ze zdjęciem było tak. Zasiedziało się kiedyś u mamy na naleśnikach orzechowych, bo to od razu jak w dzieciństwie, może byś to, a może tamto, no i gadaj synuś, gadaj jak najwięcej, taka jestem łakoma na te twoje opowieści. Ty teraz sławny, muzykę twoją puszczają, znowu wczoraj w radio słyszałam, oj, proszę cię zostań jeszcze, to sobie pooglądamy fotografie. Popatrz, jaki byłeś wirus, na wszystkich zdjęciach miny. A tu cię sprąłem, boś specjalnie do kałuży wskoczył, żeby mnie ochlapać. A tu, och jakie stare, to babcia z dziadkiem w poprzednim mieszkaniu. Czekaj, oni tam mieli takie piękne pianino, jak byłam mała, zawsze chciałam się nauczyć, takie piękne, stare pianino, zaraz, tu gdzieś powinno być widać dokładnie, na takim zdjęciu z choinką. Jest, widzisz, jest. Piękne było, ale byłam za mała, tylko pamiętam, jak mi tata grał, on umiał tak cudownie, i śpiewał miłosne piosenki przedwojenne, jak w filmach. Czeakałam, aż urosnę, żeby od ojca się uczyć. Bo nawet siły nie miałam, żeby kłapę podnieść, no ileż mogłam mieć lat. I w końcu przyszli rusczy, zabrali. Inne rzeczy też, ale ja najbardziej płakałam, że już nie zagram na pianini.

nie. Swolocz to była synku straszna, dobrze, że cię te czasy ominęły. Och, może ktoś je jeszcze ma, pewnie sprzedali, bo co mieli robić, grać to umieli tylko na tych swoich akordeonach. Tak bym chciała kiedyś zagrać na tym naszym pianinku, weź synuś to zdjęcie, popytaj, ty znasz tylu ludzi, może ktoś rozpozna. Wziąłem, popytałem, ale nie poza zachwyty, proszę pana, to musiała być fortuna. Odłożyłem zdjęcie do papierów, tam gdzie kurz i żuczki. A potem mama umarła, kiedyś tam, w czwartek. Czwartek jest czerwony. Widziałem ją w czerwonej sukni, z biblią w dłoniach, które nigdy nie dotknęły klawiszy. Ciotki płakały, wujowie wzdychali, brat tłumaczył dzieciom, że babcia i tak się nie obudzi, choćby ją łaskotały piórkami, a ja postanowiłem, że pianino będzie, i że już tylko na nim będę grał, a czasem, jak zasnę, przyjdiesz mamus pobrzdać sobie po cichutku, żeby mnie nie przestraszyć, albo nie złamać tych wszystkich kodeksów niebiańskich o niewidzialności, niesłyszalności i tak dalej.

Ileż tego czekania na raz, dzień, tydzień, miesiąc. Ktoś tam dzwonił, zapraszał, zamawiał – odsyłałem, bo praca (musiałem nakłamać), ach, pracuje pan nad czymś nowym – właśnie, mówię i odkładam słuchawkę, a tamci już wici zapuszczają: „znowu komponuje, szykuje coś” – diabli ich, ale interesują się, to dobrze, niech czekają, skoro i ja czekam, niech nasłuchują, skoro ja nasłuchuję, czy aby nie podjechała ciężarówka, czy aby mi nie przywieźli, słuchajcie, a znajdziecie, może wreszcie, może to właśnie dziś.

No, nie wiem dlaczego to zabrzmiało jak oświadczyzny, ale cóż, stało się, już mi dusznością w gardle stanęły te wszystkie nasłuchy, już chciałem wyjść gdzie bądź, na manowce, wiosna przechyliła szalę, skwar, stopiony asfalt, chciałem na spacer, ale sandały kleiły się do ulicy, nie mogłem kroków stawiać, no i wróciłem, dzwonię, Anula, znowu mam żuczki, i zabrzmiało.

Anula ma w posagu plecy jak klawisze, chłodne i skóre do pieszczoł, Anula ma plecy nagie przy mnie, a w dolinie kręgosłupa głęboko wciętej mój serdeczny wędrowniś gra po cichu, jedną mruczącą nutę, piosenkę o gęsiej skórcie, mmm, mmm, to ci dopiero muzyka. Anula ma pierśi hojne i święte, a sny na nich zapamiętują się w całości, jak filmy, mówi,

żebym zapisywał, bo to przyszłość po ciemku szepcze. A ja ci się śnię, pyta Anula. Śniesz, kochana, po to się budzę.

Szczęśliwie, świat wciąż ulega jakiejś matematyce anielskiej, i kiedy worek z niedzianiem się pęka w szwach, dzieje się wszystko, że aż zachłysnąć się łatwo. Głowa bolała już od nasłuchu, już nudności od tego, chciało się patrzeć, wachać, dotykać (Anuli, Anuli), byle nie słuchać, słuchanie spoczniej, rozejść się. No to zostawiłem ją na trochę w domu, żeby w razie tego pianina, a sam do parku, kości przewietrzyć, potem wracam, a tu: no masz ci, panowie już chcieli zabrać z powrotem, ledwo uprosiłam, żeby zostali, Anula zziąjana, draby się śmieją z jej przejęcia, a ja uważam, żeby się nie zachłysnąć. Ostrożnie, uwaga na próg, tak instruuję na wszelki wypadek, bo chyba wiedzą, że łatwo rozstroić. O tu, pod ścianą proszę, teraz trochę dosunąć, ale powolutku, no, razem spróbujmy, hej, rrup. Ile należy się – nic, nic, my to wszystko mamy płacone, tylko ręce byśmy umyli, pokaże pan, gdzie łaźienka. Anula pokazuje panom i coś tam na kompot zaprasza, a ja już sam na sam z klawiszunami, kosteczkami, podporami, świecznikami, uchwytami (zbytek, ale cóż), wszystko co do joty, i aż się boję tego pierwszego dźwięku, po takim czekaniu.

No i tak właśnie. Jeszcze klasterek lewą ręką, tylko po to, by tym bardziej zatęsknić za harmonią. Teraz obie ręce na najwyższej oktawie, popiskują, coraz ciszej, ciszej. Koniec. Doszliśmy do horyzontu. Żadnego akordu w puencie. Znienacka oklaski. Znacka całuję Anulę w brzuch. Przez okno pierwszy orszak światła. Właściwie oboje śpimy (ona nieco bardziej). Jestem oto w pełni, można policzyć wszystkie moje morza i kratery. Dzień się wdziera wróblami. I nagle pianino samo, brzdęk, brzdęk, nieporadnie, nieśmiało, dzieciennie, tak żeby nie przestraszyć, nie złamać kodeksów.

Graj sobie, graj, matulu. Anula śpi twardo. Całuję ją z nacka.



## Trzydzieści trzy pytania

### I.

– Nie wiesz, gdzie moja biała kamizelka jest? – pyta And. Odczekuje chwilę, zamyka drzwi, idzie do kuchni, dopija kompot, wraca do przedpokoju, zakłada buty, wychodzi na korytarz i dalej, na dół, po schodach, do piwnicy albo ogrodu, to przestaje być istotne, nie widać go już, nie słysząc.

Małg. obgryza ołówek

– Jak się nazywa inaczej borsuk? – pyta, nie odrywając wzroku od krzyżówki.

– Jak się nazywa borsuk inaczej? – ponawia nieco głośniejsze, a kiedy nie otrzymuje odpowiedzi, odwraca głowę i widzi, że Tad. śpi na kanapie. „Ach, śpij, synku”, myśli. Wraca do borsuka. Impuls w końcu przychodzi; wpisuje „jaźwiec” szesnastą poziomo, odkłada gotową krzyżówkę, przeciąga się, patrzy na zegar, „Boże, mój serial”, myśli, rzuca się do telewizora, strąca szklankę ze stolika. Hałas budzi Tad., który siada na kanapie, przeciera oczy, pyta:

– Która godzina?

Małg. nie reaguje, siedzi już w fotelu wpatrzona w ekran. Tad. sam spogląda na zegar, „Po piątej”, myśli. „Spałem”, myśli. Idzie do łazienki, obmywa twarz zimną wodą, płucze usta, wydłubuje z zębów resztki, wychodzi do przedpokoju, do kuchni, „Ktoś wypił mój kompot”, myśli, dołącza pustą szklankę do sterty naczyń w zlewie, słyszy głos z pokoju, wchodzi,

– Mówiłaś coś? – pyta, ale to tylko telewizor, więc wraca do przedpokoju, zakłada espadryle, wychodzi na korytarz i dalej, na dół, po schodach, do pracowni. Wchodzi, otwiera okno, wygląda. W ogrodzie And. grzebie przy samochodzie, zauważa Tad., woła:

– No co tam?

Telefon, Tad. zamyka okno, odczekuje do czwartego dzwonka, podnosi słuchawkę. Nikt się nie odzywa, Tad. chce odłożyć, słyszy chichot, pyta:

– Kryst., to ty? Halo, Kryst., czy to ty? – ale dalej nikt nie odpowiada, więc rezygnuje, siada przy biurku, „Ktoś się wydurnia”, myśli. Bębni palcami w blat, wyciąga papierosa z paczki, szuka zapalek, nie znajduje, podchodzi do okna, otwiera, woła do And.

– Masz zapalki?

And. przerywa grzebanie w aucie, zaczyna grzebać w fartuchu, wyciąga pudełko, staje pod domem.

– Złapiesz? – pyta. Tad. czeka w oknie, łapie zapalki, zamyka, zapala papierosa, wraca do biurka, bębni. „A jeśli Kryst.?” myśli, podchodzi do telefonu, wykręca numer. Nikt nie odbiera, „Mówiła, że wyjeżdża, zapomniałem”, myśli.

Film się kończy, Małg. idzie do kuchni, zabiera się za naczynia. „Garkotłuk jestem”, myśli. „Zrobili ze mnie garkotłuka”, myśli.

„To już koniec. Złom”, myśli And. i wyciera ręce w szmatę. „Trzeba było sprzedać, kiedy jeszcze jeździł”, myśli i zamyka kłapę. „Teraz go za darmo nie wezmą”, myśli i zabiera narzędzia.

Tad. przegląda szkice, zatrzymuje się przy ostatnim akcie Just., patrzy dokładnie, „Kryst. nie może się dowiedzieć”, myśli, zwija rysunek w rulon i rozgląda się po pracowni. „Trzeba gdzieś schować”, myśli. „Nie ma gdzie”, myśli i uderza rulonem w dłoń, wreszcie rozwija szkic na powrót i wsuwa pod starą wykładzinę, staje na niej, rozgląda się jeszcze, „Może nie znajdzie”, myśli, „Dobrze, że wyjechała”, myśli.

Małg. męczy się, przerywa zmywanie, siada na krześle, sapie. „Kiedyś umrę w tej kuchni”, myśli. Włącza radio, znajduje muzykę, wraca do naczyń.

And. zamyka garaż, idzie przez ogród, zatrzymuje się przy czereśni, sięga do najniższej gałęzi, bierze do ręki owoce, próbuje, „Za tydzień



dojrzeją”, myśli. Zauważa Zen., podchodzi do płotu.

– Co słyhać, sąsiedzie? – pyta. Zen. przerywa na chwilę plewienie, prostuje się, przeciera czoło, spogląda na And.

– Lepiej powiedzcie co u was, sąsiad, no? – rzuca w jego stronę.

And. macha ręką, „Lepiej nie mówić”, myśli, odchodzi. Zen. patrzy jeszcze, aż And. zniknie w domu, „Dzisiaj przychodzi Małg.” myśli, „Ale on musi przedtem wyjechać”, myśli, pochyla się nad chwastami.

Tad. słyszy kroki na schodach, „And.”, myśli, „Nie naprawił auta, pojedzie pociągiem”, myśli. Słyszy pukanie, „Przecież nigdy nie puka”, myśli, otwiera.

– Kryst., jak to, nie wyjechałaś?

Kryst. pokazuje palcem, żeby milczał, wchodzi do pracowni, wciąga go, zamyka drzwi na klucz, zaczyna się rozbierać.

Małg. upuszcza szklanę na podłogę, zamiera na moment, „Co się ze mną dzieje”, myśli, zbiera szkło, wrzuca do kubła. Ociera pot, siada, „Wszystko przez Zen.”, myśli, poprawia spódnice między udami.

And. kończy pastować mokasyny, zakłada, wchodzi do kuchni.

– Dasz mi drobne na pociąg? – pyta. Małg. otwiera szufladę, wyjmuję portfel.

– Ile? – pyta.

And. wzrusza ramionami, uśmiecha się, „Może da więcej”, myśli.

Małg. rzuca na stół banknot,

– Auta nie mogłeś naprawić? – pyta, ale And. już nie słyszy, zbiega po schodach, śmieje się, „Za dużo dała”, myśli, „Wystarczy na piwo”, myśli.

Małg. przelicza pieniądze, „Za dużo mu dałam”, myśli, „Nie wróci wcześniej”, myśli, „To dobrze”, myśli.

– Już? – pyta Kryst. Przywiera mocniej, całuje Tad. w usta, chce się jeszcze kochać, porusza nim w sobie. Tad. oddycha ciężko, „To tak, jakbym umierał”, myśli, „Za każdym razem”, myśli.

– Kochasz mnie?

– A ty?

Zen. zacina się, klnie, widzi krew na lustrze. Wyciera twarz, otwiera apteczkę, szuka, „Nie ma plastra”, myśli. Odrywa kawałek papieru toaletowego, przykłada do rany, czeka, patrzy sobie w oczy.  
„Stary jestem”, myśli.

Małg. wychodzi z wanny, bierze ręcznik, staje przed lustrem, widzi.  
„Boże, jaka jestem stara”, myśli.

Kryst. podkłada pod siebie papier, czeka, aż wypłynie z niej sperma, wyciera się, ubiera, siada w fotelu.

– Zrobisz mi kawę? – pyta.

Tad. dopala papierosa, wychodzi. Kryst. wstaje, zauważa szkice, ogląda, „Tak mnie rysuje, jakby nie kochał”, myśli. „Może inne też rysuje?”, myśli. Rozgląda się, „Gdzie mógłby schować?”, myśli, zabiera się do szukania, ale Tad. już wraca z kawą, więc go pyta:

– Powiedz, kto ci jeszcze pozuje?

Tad. przelyka ślinę,

– Co? – pyta.

– No, czy poza mną któraś jeszcze, goła?

Tad. oddycha głębiej.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – pyta i podaje jej filizankę.

Zen. poprawia kołnierz, wacha się pod pachą, podchodzi do kanapy, wygładza narzutę, patrzy na zegar, podchodzi do okna, spogląda zza firany, spostrzega Małg. „Idzie”, myśli, „Już idzie”, myśli, podchodzi do drzwi, czeka na dzwonek.

Małg. stuka obcasami o asfalt, „Ale głośno stukam”, myśli, „Na całej ulicy słyhać”, myśli, wchodzi na piętro, staje pod drzwiami, dzwoni.

And. patrzy przez szybę na mijające jezioro, zagajnik, pole, zagajnik, pole, pole, w szybę, na siebie, na twarz śpiącej sąsiadki, „Taka młoda jak Graż.”, myśli, „Nawet całkiem podobna”, myśli, podaje bilet do sprawdzenia.

– Kiedy dojedziemy do x? – pyta.

Tad. siedzi, oddycha, patrzy ma Kryst., która siedzi, oddycha, pije kawę.

- Czy nie przesadzasz z tą zazdrością? – Tad. pyta.
- Tak uważasz? – Kryst., mówi, robiąc łyk.
- Myślisz, że mógłbym cię zdradzić? – Tad. pyta.
- A nie mógłbyś? – Kryst. mówi, robiąc łyk.
- Ale po co miałbym cię zdradzać? – Tad. pyta.
- A po co w ogóle się zdradza? – mówi Kryst. dopijając.

Małg. składa ubranie w kostkę, kładzie się na krześle, zostaje w samych majtkach, z trudem zasłania piersi, odwraca się do Zen.,

- Bardzo jestem stara? – pyta.
- Zen. podchodzi, obejmuje ją, całuje w czoło.

And. odstawia pusty kufel, wychodzi z knajpy, przechodzi ulicą, wchodzi do bloku, windy, wjeżdża na górę, staje pod drzwiami, dzwoni, wchodzi, całuje Graż. w usta, zaczyna ją rozbierać, przenosi na łóżko.

- „Pił”, myśli Graż., pozwalając zdzierać z siebie bieliznę.
- „Ale jemu wolno”, myśli, obejmując go nogami.
- „Boże”, myśli, czując go w sobie po raz pierwszy.

- Po co? – pyta Kryst.
- „Po co?”, myśli Tad.

## II.

- Gdzie są moje klapki, te czarne? – pyta And.
- Małg. obgryza ołówek.

## Mrózg

- W życiu żem nie był w Białymstoku. W życiu bym nie pojechał, bo i po co, żeby nie ten list od Janki. Wie ksiądz, generalnie nie znoszę podróży, szczególnie pociągami. Samochodem to co innego, człek jest zajęty przez cały czas, nie myśli o głupotach, ino uważa, żeby komu w zadek nie wjechać za przeproszeniem, no i przystanąć może kiedy chce, w szczerym polu choćby, pooddychać czy co, albo wyszczać się za przeproszeniem. Ale pociągami? Cały Boży dzień zmarnowany, w dodatku ten upał, pot się klei i cuchnie, i to jeszcze żeby swój, to idzie znieść, ale przedział ludzi pełny, zaduch, no podusić się można. Żem se postanowił, że jak kiedy jeszcze pojedę taki kawał, to żebym miał głodować, pierwszą klasę wezmę i sam w przedziale przynajmniej będę, a co. Mówię, znieść nie szło, alem myślał o Kaśce, że jeszcze parę godzin i ją zobaczę, że wyściskam, to mi się zaraz lepiej robiło. Wie ksiądz, sześć lat żem tylko z listów wiedział, czy zdrowa, jak się uczy, i to raz na ruski rok mi te listy Janka przysyłała, jakem już wydzwaniał, że choćby mieli zamknąć na amen w pierdłu albo u wariatów, to przyjadę i zrobię tam rozpiździel taki za przeproszeniem, że tego jej Wacka to będą zbierać z chodnika, a Kaśka się dowie, kto jest ojciec. A zdjęcie to żem miał od niej tylko takie stare, jak jeszcze mała była, no ile mogła mieć, dwa lata, takie z ZOO, przed słoniami stała z Janką, pomięte całe, bo żem je zawsze nosił w portfelu, zawsze. No to generalnie żem ani nie wiedział, jak mała wygląda teraz i wie ksiądz, aż bałem się jakoś, no bo jak to tak córki rodzonej nie poznać. Mówię, taki gorąc był, że nie szło, a ja żem głupi słodycze jej kupił przed wyjazdem i się topiło wszystko po drodze, czekolada, banany się zgmiotły w torbie, to zjadłżem, żeby się nie zmarnowało, tylko soczki jej zostawiłem, takie owocowe, co dzieci lubią, wie ksiądz, a resztę żem miał kupić jeszcze raz w Białymstoku. A cały czas żem myślał ino o tym liście. Wie ksiądz, jak to było, jak wtedy ona zabrała dziecko, co ja będę księdzu

gadał, jak ksiądz wie. Jakbym wtedy tego jej Wacka dorwał, z miejsca bym zajebał za przeproszeniem. Powiem księdzu, bo może nie wie ksiądz, ja zem se nawet wtedy tak postanowił z tym picim, że to tak na śmierć, żeby się zapic i zdechnąć, żyć zem nie chciał jak jasny gwint, no nie chciałem i już, ino pic i zdechnąć. Jakem chodził po wsi, to ksiądz pamięta, jakem od pieronów księdza wyzwał, bo mi się ksiądz pomylił z tym chujem Jareczko, ksiądz wybaczą, że klnę, ale ja już zem księdza przepraszał nieraz i ksiądz mi wybaczył tamto. A u chuja Jareczki na komisariacie tom prawie mieszkał. No a ona wtedy ino zbierała to wszystko do kupy, a potem jak mi nie strzeli z tą rozprawą. Ani zem nie dostał powiadomienia, bo siedziałem u rodziców w Wałbrzychu dwa tygodnie, tak odwiedzić staruszków pojechałem, bo mi się już całkiem sprzykrzyło i myślałem, że jakby co, to przed śmiercią ich choć raz zobaczę, No, to mówię, ani zem nie odebrał powiadomienia, ino jak zem już wrócił do domu, to mi powiedzieli sąsiedzi, że była sprawa w sądzie i że nie mam praw ojcowskich, że już nie moja Kasia jest i nie mogę jej ani widzieć, ani nic. No, to mówię księdzu, wtedy to mnie dopiero kurwica wzięła za przeproszeniem. Żebym wiedział, gdzie się schowała Janka wtedy, ale nie wiedziałem, to może i dobrze, bo bym wtedy krzywdy narobił jakiej. Tak tom tylko porąbał całą knajpę u Stasiuka, no i mnie zamkli wtedy, już nie u chuja Jareczki na komisariacie, ino w Wałbrzychu, normalnie w pierdlu. No miałem tam czas generalnie, żeby pomyśleć nad sobą, a jak mnie puścili za trzy miesiące, to już ksiądz pamięta, zem prosto do księdza przyszedł. No i mówię, do tego Białegostoku jechałem cały dzień prawie, a list to zem chyba ze sto razy przeczytał, albo i więcej. Tak se myślałem, że przez te wszystkie lata, co zem u księdza był za kościelnego, tom cały czas się ino modlił, żebym kiedy jeszcze Kasię zobaczył; żeby Janka wróciła, tom ani nie myślał, ale Kaśkę chciałem zobaczyć, jak Boga Kocham. No i myślałem se teraz po drodze, że pan Bóg posłuchał, że z tym listem to cud jaki chyba, że ona tak pisze „Przyjedź Stasiu, po prostu przyjedź”, że „Kaśce to już mówiłam o tobie i się cieszy, że cię zobaczy” ona, co mówiła, że po jej trupie, że takiego ojca jak tamten, to ze świecą szukać. No, ale tamtemu się zmarło, ciekawe za co go tak Bóg pokarał, skoro taki dobry był, ciekawe, że ledwie co trzydzieste piąte urodziny świętował, a miesiąc później go na onkologię wywieźli, a cierpiał tak, że chciał żeby go zabili, bo z bólu już nie mógł, a pod koniec, to nawet Janki nie pozna-

wał, bo mu się na mózg rzuciło, ino ryczał jak ślachtowany knur. No i Jance przestało się przelewać jak chłopa zabrakło, wiem, bo ludzie gadali, ludzie wszystko wiedzą, wie ksiądz, od jej rodziny wiedzieli, od matki. Już mi od kwietnia gadali, zobaczysz Stasiu, ona napisze do ciebie, co byś wrócił, bo jej chłopa brakuje, zobaczysz napisze do ciebie. I takem całą drogę myślał co zrobię, jak przyjadę, a jakem przyjechał, to mnie tak w sercu ścisnęło ze strachu, że ich nie znajdę. Adres miałem z listem w kopercie, a co chwila zem ino macał po kieszeni, czy zem nie zgubił. Zaraz na dworcu zem kupił te słodycze i poszedł na autobus, a gorąc był taki sakramencki za przeproszeniem, że myślałem, że mnie zemdle, obale się na ziemię i nikt mi nie pomoże, za ćpuna mnie wezmą jakiego, albo rumuna, wie ksiądz, jakie ludzie są. No mówię, aż mi się tak całkiem serio słabo zrobiło, ze strachu i z gorąca, że myślałem, czy by nie wsiąść w pociąg i nie wrócić nazot do domu, myślałem co mi z tego, że je znaję jak im zemdleję w mieszkaniu, to wstyd z tego będzie ino, a Janka se pomyśli „No, już mu wódka wyżarła w środku wszystko, to teraz mdleje”, a ja przecież ani kropli, prawie sześć lat, ksiądz wie najlepiej, ani gorzałki, ani kawy, ani papierosa, nic, jak pan Bóg przykazał żyłem. No, ale jakzem zobaczył, że będę miał autobus, to pomyślałem, jakoś wytrzymam, w końcu całą Polskę zem przejechał, żeby córkę zobaczyć, to i ten kawałek wytrzymam. Ale wie ksiądz, nic tak nie znoszę jak podróży, szczególnie pociągami. A w tym autobusie to mi się wcale lepiej nie zrobiło, zaduch był większy niż w pociągu, okna nie szło otworzyć, ludzi pełno, a gęby jakieś takie obce, nikogo znajomego, zestrachowało mnie już całkiem, siadłem i ino liczył przystanki, żeby wysiąść, żeby mnie w tym autobusie co złego nie spotkało. A tak zem liczył z tego strachu, zem przejechał o jeden za daleko, no i już nie wiedziałem, co się dzieje ze mną, trzęsły mi się ręce, dusiłem się normalnie, mówię księdzu, jam tchu złapać nie umiał, tak z nerw zem wyszedł generalnie. Ktoś mi pokazał w końcu, jak dojeść na osiedle, pytałem o Jankę, ale nie znał. „Panie, tu duże miasto, ludzie się nie znają”. W końcu znalazłem blokowisko takie wielkie, zem się cały pogubił w tych numerach, no, mówię, godzinem chyba schodził zanim zem trafił pod jankowy numer. A cały zem się trząsł, mówię księdzu, ze strachu, nic mnie tak w życiu nie zestrachowało, a swoje zem przeżył, wie ksiądz, nawet Staszka Mrowcę zem widział rok po pogrzebie, jak bez głowy chodził, ksiądz nie wierzy, a widziałem, rok po



pogrzebie, alem się nie zestrachał, a teraz jakżem do nich przyjechał, tom się bał sakramencko za przeproszeniem. Tak mnie od środka gnietło, ciężko jakoś było tak, przecucie jakieś, czy co. No ale żem w końcu trafił i wjechał windą na dziesiąte i znalazł drzwi, opalone ładnie, z wizytówką elegancką, widać, że chłop obrotny był, psia jego mać, za przeproszeniem. No to dzwonię, a se tak myślę, niech ich nie będzie, to mnie tu zaraz co rzeczywiście trafi, przecież nie posłałem telegramu, nie wiedzą, że przyjechałem. Najpierw to rzeczywiście nikt nie otworzył, ale żem zobaczył, że nie dzwonek przyciskam, głupi, ino światło włączyłem, to żem ani nie poznał, dopiero po głosie, „Stasiek”, powiedziała, „Stas”, ino powiedziała i wciągnęła za rękę do środka i stanęła tak, a patrzyła na mnie jakby ducha zobaczyła. Nie poznałem od razu, bo żem jej przecież nie widział tyle lat, a wychudła, mówię księdzu, jak szczapa, ino było widać te jej oczy podbite, a ubranie to wisiało na niej jak szmata na miotle. No, tom pomyślał głoduje czy co, bo jak trup wygląda, przecież tak źle to im chyba nie było, coby głodowały, a zaraz żem se pomyślał o Kasi i pytam „Gdzie Kasia?”, bo nie było słycać, żeby kto jeszcze w mieszkaniu był. A ona ino zdążyła powiedzieć „Kasia jeszcze w szkole” i nagle, jak stała, tak się zwinęła i beczeć zaczęła, ale tak żem jej jeszcze beczeć nie widział, no to od razu mnie się miękko zrobiło generalnie, wie ksiądz, no ścięło mnie. No to ja zaraz torby na ziemię i dawaj ją przytulać, „Janeczka, no co ty, no nie bezc głupia, co ci jest?”, a ona ryczy, i widzę, że chce powiedzieć coś, ale tak ryczy, że ani nie umie słowa wydusić, jak dziecko małe, co się zanosi, wie ksiądz. No to ja żem se już myślał, masz ci, ona tak się wzruszyła chyba, że mnie widzi, to może mnie kocha jeszcze, tak mi się pomyślało, może jeszcze będzie chciała, coby zaś tak zostało, jak dawniej. Ale w końcu ona trochu się opamiętała i tak zaś patrzy na mnie i mówi „On tu jest”. Ja z byka spadłem, bom ani nie wiedział o kim mówi, ale ona zaś „Stasiek, ja nie wiem, co mam robić, on tu jest” i ciągnie mnie do pokoju. Wchodzę i widzę, że ktoś telewizor ogląda, jakieś po niemiecku teleturnieje, czy coś takiego, ale nie było widać, bo fotel odwrócony był, tom ino powiedział „Dzień dobry”, a Janka „On cię nie słyszy” i odwróciła fotel, a jakem go zobaczył, to proszę księdza, jak Boga kocham, myślałem, że się zesram w portki, no nawet mi chyba trochę uszło, bom ani nie myślał trzymać ze strachu. No, mówię, wszystko mi się w try miga podniosło do gardła, teraz to ja żem nie mógł stękać ino żem tak patrzył wmurowany,

a ona mówi: „Nie było ani dwa tygodnie od pogrzebu, jak się budzę, to niedziela była, Kaśka spała dłużej, Bogu dzięki, że spała, bom to mogła ukryć przed nią, idę do łazienki i słyszę z pokoju, że telewizja włączona, to myślę, przecie nie oglądałam po nocy, żeby zapomniała wyłączyć, wchodzę i widzę go, Jezus Maria, Stasiek, ty se wyobraź, co mnie się zrobiło, ale nie zaczęłam krzyczeć, bom od razu pomyślała o Kaśce, mówię ci, najpierw to myślałam, że kawał jakiś głupi, ale ty widzisz, jak on wygląda, podchodzę, sprawdzam, no zimny, ani nie oddycha, ani nie mru-gnie, ja mówię do niego, Wacek, kochanie, mężu, a on nic, no to pomyślałam, skurwysyny pojechał jakieś wykopali go i przynieśli, żeby babę wystraszyć i do wsi nazot wypędzić, że zawiści, że się nam wiodło jakoś i chciałam na policję lecieć, ale myślę, przecie Kaśki nie zostawię, bo jak się obudzi i go zobaczy, to zwariuje chyba, to pomyślałam, żeby go schować jakoś póki co, póki Kaśki nie wyprowadzę do koleżanki i policji nie ściągnę, no i chciałam go przenieść z fotela, a przed śmiercią to go nieraz dźwigałam, taki był wychudły, i ciągnę go Stasiek, ale ani drgnie, jakby go co przykleiło do tego fotela, szarpałam, ciągnęłam, już tak mnie nerwy puściły, żem go biła pięściami, ale on nic ino patrzył w ten telewizor, Stasiek, i on tak cały czas, do dzisiaj, a ino szuka po kanałach jakiegoś turnieju po niemiecku, wiesz Koło Fortuny, albo co i ogląda, cały Boży dzień, dwadzieścia cztery godziny, i w nocy, no, to ja wtedy jakoś Bogu dzięki z tą Kasią zrobiłam, że do pokoju nie weszła, ino do kuchni, a zaraz po śniadaniu do kościoła my poszły obie, w kościele to ja załatwiłam z taką moją koleżanką, coby wzięła Kasię na jakiś czas do siebie, no wymyśliłam, że taka smutna chodzi po domu, jak ojciec zmarł, żeby może odetchnęła se trochę, no i od tej pory to nikogo tu ani nie wpuszczalam, Stasiek, dzień i noc przy nim czuwałam, czy się odezwie, albo nie ruszy, a on nic, tyle co tym pilotem rusza, jak się program skończy, i nowego szuka, aż tak mnie się zniechęciało wszystkiego, ani jeść już nie mogę, wyjść na miasto się boję, bo kto może zajrzeć, jak mnie nie będzie i się wyda, że trupa w domu trzymam, mówię ci Stasiek, tak mnie to wszystko obmierzło, już nawet myślałam, coby się wieszać, bo tu ani z kim się podzielić żalem, no powiem komu, to przecie całe miasto mnie wyklnie, za czarownicę mnie wezmą, zamkną u wariatów, albo w więzieniu, czy gdzie, Stasiek, ja se tak przypomniałam o tym naszym księdzu, i o tobie, że ty z nim dobrze żyjesz, ludzie mówili, że za kościelnego robisz, no



a ten nasz ksiądz, to przecie zawsze wszystkim doradzał, i zawsze tak było, że się ze wsi ludzie schodzili, jak co się działo dziwnego, bo on te egzorcyzmy odprowadzał, to już nawet we Białymstoku kiedyś ja słyszałam w autobusie jak ludzie o nim opowiadali, z takiej małej wsi ksiądz, a ludzie gadali, tak daleko dotarło, no to mnie się zaraz przypomniało i wzięłam i napisałam po ciebie, ale nie chciałam pisać, co się stało, bo byś pomyślał, że zwariowałam i byś nie przyjechał, a tak żeś jest, to widzisz na swoje oczy, możesz se sprawdzić, że to nie zmyśliłam nic, no jest tu przecie, nie?”

Tak było, no mówię, a potem to my tak razem siedzieli, ja że mógł uwierzyć, choć że tam był przy nim przecie, i widział, ale co że mógł się odwrócić, czy z nią zagadał, to już zaraz mi się wydawało, że to sen jakiś koszmarny, że mógł musiał znowu sprawdzić, a to popatrzeć na niego, a to go dotknąć, no zimny, mówię, nie dychał, serce nie biło mu, ale też nie śmierdział, żeby gnął to nic z tego, siedział i oglądał. Tak mi się nawet żał człowieka zrobiło, że to po śmierci nawet spokoju nie zaznał, ale że mógł pomyślał, czy ja aby za mocno nie modliłem się, że go tak Bóg pokarał za moją krzywdę. No i widzi ksiądz, tak to wygląda, ja że mógł jeszcze tego dnia do Kaśki poszedł, ale było, wesoła dziewczucha, o niczym nie wie, wujku do mnie, wie ksiądz, wujku do mnie mówiła, ale mi nie było żal, dziecko przecie nic nie jest winne, jak ją Janka zabrała, to jeszcze za mała była, żeby mnie spamiętać, a w szkole piątka same, zeszyty mi pokazywała, ino mówiła, że mama coś chora i się martwi, ale mógł dziecko pocieszył, wie ksiądz, takiej radości to ja w życiu nie miałem, no generalnie to bym szczęśliwy był, gdyby nie ten jej, gdybym nie wiedział, że Janka tam w domu siedzi z tym truchłem, no mówię księdzu, jak że mógł o tym pomyślał, to mi się zaraz zimno robiło, tak mnie coś mroziło w mózgu, generalnie. No i przyjechałem po księdza w try miga, bom co miał robić, kiedy złe się Janki chwyciło, przyjechałem, chociaż nie znoszę podróży generalnie, bo wiem, że ksiądz na pewno coś poradzi...

Archiwalne nagranie autentycznego głosu Staśka Majzlonia dobiegło końca.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia błogosławionego księdza Pasiklacz z wczesnej młodości, lat seminaryjnych, potem już z okresu działalności duszpasterskiej. Głos z CD-Romu kontynuował informację o księdzu.

– Przybywszy do białostockiego mieszkania Janiny Grzej, która oczekiwała nań wraz ze Stanisławem Majzloniem, ksiądz Pasiklacz udał się natychmiast do pokoju, w którym przebywał od kilkunastu dni zmarły mąż Janiny, Waclaw Grzej i oglądał program telewizyjny produkcji niemieckiej. Ksiądz zamknął się ze zmarłym w pokoju na trzy dni i trzy noce, w trakcie których dokonał egzorcyzmów. Czwartego zaś dnia wyszedł do przedpokoju i rzekł „Dokonało się”, po czym padł bez ducha na ziemię. Janina Grzej p.v. Majzłoni, która natychmiast po tym wbiegła do pokoju, zdążyła jeszcze zobaczyć duszę jej zmarłego męża wylatującą przez okno ku niebu i usłyszeć głos „Janinko, zostań ze Stasiem, to dobry człowiek. A ksiądz ma zostać świętym”. Beatyfikacji dokonał papież 8. VI. 1999 roku, w rocznicę Cudu w Białymstoku.

Na tym kończył się materiał o księdzu Pasiklacz. „Mało”, pomyślał Wit Karczo, student czwartego roku teologii KUL, zbierający właśnie pierwsze dane do swej pracy magisterskiej p.t. „Błogosławieni egzorcysty polscy”.

„Mało, ale na początek wystarczy”, pomyślał i odniósł CD-Rom na półkę, po czym wyszedł z biblioteki w stronę pobliskiego baru szybkiej obsługi.

## Aneks

## Winniczek

(apokryf)

*I siedziała tak z nogą na nodze, obnażając przede mną kolana krągłe i gładkie, kiwając stópką obutą lekkim sandałem, a kiwając tak mi- sternie, tak przemyślnie, jakby tym kiwaniem powiedzieć do mnie coś chcia- ła, do mnie, bo do kogóż by, skoro sami w przedziale byliśmy już od Za- wiercia, a pończoszka tak się delikatnie jej marszczyła przy tych kiwnię- ciach, cieniutka beżowa pończoszka, tak się delikatnie, że nie mogłem oderwać wzroku, przykuła przyszyła przycerowała mnie do pończoszki, do zgięcia nóżki smukłej pod kolanem, gdzie łydka przechodzi niepostrze- żenie w udo uch udo mięciutkie aksamitne, a przygrywał jej w tym kiwa- niu stukot, przygrywał rytmicznie, tadat tadat, tadat, tadat, mieszcząc po- dwójne stuknięcie między pojedynczym kiwnięciem, i ja patrzyłem tak wpatrywałem się, ale niewiele widziałem, bo tylko zmarszczka na poń- czoszcze, bo tylko nóżka, i oczu nie śmiałem podnieść, no nie śmiałem, tak byłem przysyty, a myślałem sobie, że ona musi myśleć o mnie takie rze- czy, takie na przykład okropne „o ty wstydlivy trzepikoniku, o moich no- gach marzysz, oglądasz kolana, oglądaczu jeden wstrętny ohydny ty, chciałbyś może i głębiej gdzie zajrzeć, ale nie śmiesz, ty oklejaczu ścian w kiblu, ty włajerysto, jak mawia doktor Szpilka na zajęciach, jestem stu- dentką piękną pachnącą, umiem takich jak ty klasyfikować, ty oskubany koguciku, nie dla ciebie kielbaska, o nie”, może i myślała tak, a może gorzej, bo ja już całkiem straciłem nadzieję, że wzrok mi się uda (uch uda) oderwać, że uciec z obozu pończoszkowego, wyplatać z drutu kol- czastego, i zeszywniałem już całkiem jak trup, i tylko oczy za jej kiwnię- ciami ruszały mi się płynnie faliście, w tę i w tę, aż nagle coś mi jakby zamajaczyło pod pończoszką na nieskazitelnej dotąd smukłości, tak jakby plamka, pieprzyk, ale taki czarny pieprzyk, pomyślałem, nie może być, żeby taki zgrzyt wdarł się z owąds, niemożliwe żebym tak się wpatrując*



dotąd nie zauważył tego intruza, tej fałszywki, i nagle cała smukłość, czystość i gładkość wydała mi się skazitelnością, szorstkością niesmaczną, tak bardzo niesmaczną, że już byłem wolny, już odsyty, wykuty, już nie musiałem się wpatrywać, już z własnej, nieprzymuszonej woli studiowałem tę kaleką nieładną przykrą obrzydliwość, już chciałem parsknąć na głos „ha, pieprzyk”, już miałem zamiar się wypowiedzieć „piękna pachnąca, a tu taki pieprzyk”, kiedy przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie kiedyś, przedpołudniem zostawiony w domu, jednym z tych przepastnych rozciągniętych poranków, grzebiąc w szafach szufladach, szukając dla szukania samego, bo co można było znaleźć tajemniczego, to dawno znalazłem innymi przedpołudniami, natknąłem się na gniazdo pieprzyków, i wysypałem niechcący, pofrunęły rozfrunęły się, nie zdążyłem uciec i parę na mnie spadło, tak już zostały, ale większość się uwolniła na dobre, i przez okno, wiut przez okno wyleciały ofiary szukać, i pomyślałem, że może to jeden z nich, po latach, może to jeden z wypuszczonych przeze mnie pieprzyków wygłodniały wreszcie osiadł na stałe, może właśnie kiedy się wpatrywałem w skazitelność, i poczułem się winny, i cała ta kalekość i szorstkość wzbudziła we mnie żal i politowanie, i już chciałem przygarnąć pocieszyć zaopiekować się tą chorą nóżką, ale tak się jeszcze uważnie przypatrzyłem, wydało mi się, że coś to jakby nie pieprzyk, że po prawdzie takiego pieprzyka jeszcze nie widziałem, więc pomyślałem, może to inny intruz przyczepił się i wysysa spod pończoszki całą mięskowatość nieskazitelną, i zobaczyłem nagle wyraźnie, że to kleszcz napity, olśnienie, kleszcz nie pieprzyk, a więc gładkość jeszcze do odratowania, do odtworzenia, jeśli tylko intruza usunąć, i zaraz się we mnie sanitariusz objawił, zaraz podjąłem się ratować, ratować jak najszybciej, żeby nie uronić już ani kropli tego gładkiego piękna, więc jak najgrzeczniej, żeby nie przstraszyć, nie sploszyć, zapytałem, zagadnąłem, powiedziałem

– Przepraszam, czy mogłaby pani zbliżyć do mnie tydkę, bo coś przyuważyłem?

i wreszcie podniosłem wzrok, i zobaczyłem, o zobaczyłem jej twarz całusienką gołą, ale lepiej bym nie zobaczył, bo spojrzała i ona na mnie, ale tak spojrzała, że lepiej by nie spojrzała, tak jakoś oburzone-zdziwiono, tak jakoś jakby z jedną ręką na gazie łzawiącym a drugą na hamulcu bezpieczeństwa, i ja wyczytałem z jej twarzy komunikat, wyczytałem, co ona o mnie myśli, tak myśli „ty smarku zasuszony, ty przygarbieńcu po-

kraczny, odważyłeś się do mnie odezwać, do mnie na głos, ty, chyba ci mlecz się do głowy wtrysnął z braku ujścia, nie myślisz chyba że na tę wariackość nienormalność paskudną w ogóle odpowiem, że zauważę propozycję analizy kto wie, może i taktylnej, jak mawia doktor Szpilka na zajęciach, mojej własnej osobistej nogi, przeznaczonej dla absolwentów marketingu, a w najgorszym wypadku dla aplikantów umięśnionych, tacy mogą dotykać, badać, zapoznawać, nie ty, zbrojeńcze ty”, tak ona oburzono-zdziwiono na mnie patrząc milczała, a do pomarszczeń jeszcze dołączyła brew zmarszczoną gniewnie, no to ja w te pędy, żeby swoją misję wytłumaczyć, żeby ujawnić rolę swoją zbawczą, mówię

– Myślę, że grozi pani niebezpieczeństwo, a przynajmniej drobna przykrość

ale ona wtedy się na mnie wybałuszyła już nie tyle gniewnie, a bardziej z lękiem, ale na chwilę, bo zaraz jej wróciła ta mina, ta brew, to oburzenie-zdziwienie i odezwała się z ostrożną

– O co panu chodzi, jeśli można?

no to ja nie wytrzymałem, bo intruz wykorzystywał każdą chwilę zwłoki, a moja bezbronna, o niczym nie wiedząc, opóźniła interwencję, złapałem ją za tę tydkę, podnoszę, pokazuję

– A to co?

pytam, i pokazuję na kleszcza, ale ona nawet nie zerka, tylko oburzenie głupia ogłasza i pyta

– A cóż to?

że niby jej moje maniery nie odpowiadają, więc ja raz jeszcze wskazuję palcem i mówię

– Kleszcz!!

dopiero ona wtedy zauważa ssacza i wydaje takie bezradno-obrzydzone jęknienie i osuwa się omdlała, najnormalniej mdleje mi na siedzeniu, cała jej pachnącość-studenckość mdleje przede mną, całe jej oburzenie-zdziwienie traci się rozplywa, wiotczeje, myślę więc to ci dopiero, kleszcz mi otwarł drogę do głębin, kleszcz się okazał wytrychem do pończoszek, tydek, kolan, a może nawet do ho ho, może i nawet ho ho ho, i aż mi się ręce same zacierają rękawy zakasują, no i zabrałem się do roboty, a dokładnie i solidnie, bo się poczułem odpowiedzialny, tak, osobiście odpowiedzialny za tę omdlałą mi, dla mnie, wobec mnie i kleszcza omdlałą, jałem się zabierać za intruza, to znaczy zabrałem się do zabierania, bo

najpierw wiadomo, trzeba było pończoszkę, na miły bóg, własnoręcznie pończoszkę trzeba było ściągnąć zsunąć powolutku, a żeby ściągnąć pończoszkę, najpierw podwiązkę, tak tak, prawdziwą podwiązkę odpiąć, tam wysokowysoko, na udzie (uch udzie) mięciutkim, a jak już zacząłem odpiąć, to znaczy powziąłem zamiar odpięcia, a jak już moje własne ręce wysokowysoko poczuły ciepło, to coś mnie tknęło żeby tknąć, żeby tknąć i sprawdzić tak dla samego sprawdzenia tam gdzie hohoho, gdzie najcieplejsze ciepło się znajdowało, wydobywające się przez majteczki z majteczek i w majteczkach, tknąłem więc, tknąłem osobiście, bezlitośnie naruszyłem nietykalność, a gdzie tam kleszcz, gdzie tam kleszcz był, ssał dalej niezagrożony, a ja, nowy intruz, tak, sam stałem się intruzem, z ratownika się stałem gwałcicielem, i poczułem się winny, poczułem, że już za późno, za późno już na przebaczenie rozgrzeszenie, dokonał się grzech ciężki niezmywalny, potępienie się zapisało i czeka, teraz już zawsze będzie czekać, to właśnie zrozumiałem, ale ona dalej była omdlała, Piotrków już mineliśmy, nikt nie wsiadał, a ona dalej taka osunięta nieocknięta, więc pomyślałem, że przecież jeden intruz może przeciw drugiemu, może powierzyć winę drugiemu, a więc to wszystko przez kleszcza, bo on pierwszy się wessał wgrzył i teraz już co bądź to przez niego, więc odstłoniłem najcieplejsze ciepło, majteczki, na miły bóg, białe majteczki zsunąłem ostrożnie, i wessałem się wgrzyłem na drugiego, tak, na drugiego się załapałem, po kleszczu, skoro on mógł, to i ja mogłem, to i każdy by mógł, i moje zatopienie wessanie wlizanie było czyste, tak pomyślałem, było czyste, bo przecież jad kleszcza wpuszczany tydką rozprzestrzeniał rozlewał się po całym ciele, więc i po całym cieple, więc i po najcieplejszym, a ja ten jad wysysałem, na siebie wzięłem, truciznę usuwałem wysysałem wylizywałem zapamiętałem, a więc na powrót stałem się ratownikiem, a więc nastąpiła odwracalność, moja rola zmieniła się raz jeszcze, i rzeczywiście, moje ssanie przyniosło efekt, bo pachnącość-studenckość obudziła się, ożyła, a ja tym przebudzeniem strapiony myślałem, że może już dość tego ssania, że teraz, kiedy jad usunięty, trzeba wyrwać pierwszego intruza, praprzyczynę jadowitości zdeptać i rozgnieść, i już się odrywam, kiedy ona mi głowę przytrzymuje, czuję, że nie dość jej tego ssania, że już nie oburzo-zdziwiono, tylko zadowolono-przyjemnie, że w takie przumrużenie-rozchylenie wpadła i nie zamierza wypaść, więc trwało to ssanie podwójne, moje i kleszcza, jednocześnie trójcę ustanawiając, bo żadne z nas się

wyrwać nie mogło, ja i intruz ze ssania, ona z bycia ssaną, i wszyscy wpadliśmy w obóz, w zniewolenie przysycie przycerowanie wzajemnie, i żadnej już nie widziałem nadziei, bo trwało to trwało, sunęło w stukot i zmierzch i Tomaszów, i sam już nie wiem, kto winien,

z czyjej to wszystko przyczyny,  
z mojej, kleszcza, czy dziewczyny.

**Panie Wojciechu,**

bardzo mi przykro, że tak długo milczałem, moje możliwości czytania są limitowane (choroba oczu), dopłatał się ponadto zbieg okoliczności, który trudno przedstawić w dwóch słowach, w rezultacie sam się ukarałem, przyjemność lektury zepsuły mi wyrzuty sumienia.

„Opowieści slychane” są znakomitym debiutem w prozie, zbiór opowiadań jest artystycznie przemyślany, pokazuje on, z czym Pan w prozie zaczyna, do czego Pan może zmierzać.

Widać w utworach zbioru artystyczny patronat Stanisława Czycza i to z jego najlepszego okresu, z okresu „Ajola”, kiedy nie było jeszcze u niego stylistycznego manieryzmu.

Nie o jakiegokolwiek zależności myślę, lecz o nawiązaniu do tych prób literackiej eksploatacji mowy, od których Stanisław Czycz zaczynał.

U Pana same fundamenty mowy są inne niż u Czycza, Pan jest bardziej niż on polifoniczny, choć czasem z tą polifonią nie umie sobie Pan poradzić, co widać w opowiadaniach „Diobol” i „Pieron ognisty”.

Te właśnie utwory, choć nie są tak sprawne jak „Tadzik”, jak „Odór”, jak „Mrózg”, są u Pana jak najbardziej własne, one pokazują Pana prozatorskie możliwości.

Polifoniczność u Pana nie jest tylko formalna, Pan widzi człowieka w jego swoistości wewnętrznej i zewnętrznej, to dla większości najbardziej znamienych rodzajów prozy ma podstawowe znaczenie.

W Pana uwrażliwieniu na pewne rodzaje zwichrowań w człowieku nie kryją się na razie żadne pisarskie zagrożenia, nie ma w tym nic z psychoanalitycznej ilustracyjności, są to w Pana narracjach zwichrowania samorodne, dzikie, nieprzewidywalne i często nieprawdopodobne, co zmusza Pana do szukania prawdy w nieprawdzie i wyzwala narracyjną brawurę.

Jeśli w Pana upodobaniu do zwichrowań miałyby się kryć przypuszczenie, że bez nich nie byłoby sposobu na życie, to prawa do takich przy-

puszczeń nikomu nie można odmawiać.

Przy lekturze Pana narracji myśli się często, że Pan potrafi odkryć wewnętrzne szaleństwo wszędzie tam, gdzie się go nie zwykło podejrzewać.

Nie wykluczam, że może to być oczywistość, przed którą niepotrzebnie i bez skutku się bronimy.

Cieszę się bardzo, że Pan się dopracował tak świetnego debiutu w prozie. Wiem od Adama Wiedemanna, że na publikację „Opowieści slychanych” nie trzeba będzie długo czekać. Gratuluję.

Pozdrawiam Pana, życzę wszelkich sukcesów –

*Henryk Bereza*



## SPIS TREŚCI

### *Opowieści slychane*

<b>Diobol .....</b>	<b>7</b>
<b>Pieron ognisty .....</b>	<b>15</b>
<b>Zianie .....</b>	<b>24</b>
<b>Tładzik.....</b>	<b>30</b>
<b>Fetor.....</b>	<b>37</b>
<b>Impromptu .....</b>	<b>46</b>
<b>Trzydzieści trzy pytania .....</b>	<b>50</b>
<b>Mrózg .....</b>	<b>55</b>

### *Aneks*

<b>Winniczek .....</b>	<b>65</b>
<b>Posłowie (Henryk Bereza) .....</b>	<b>70</b>



Wojciech Kuczok, *Opowieści słychane*

© copyright by Wojciech Kuczok

Projekt okładki:

Katarzyna Krochmal-Czyżowska

Fotografia na okładce:

© Wojciech Kuczok

Redaktor tomu:

Adam Wiedemann

Redaktor serii:

Mariusz Czyżowski

ISBN 83-7220-074-2

Biblioteka

PISMA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO „STUDIUM” - tom 15

Wydawca:

Wydawnictwo „Zielona Sowa”,  
30-103 Kraków, ul. Tatarska 9, tel./fax (012) 429-37-34

oraz

Studium Literacko - Artystyczne przy Instytucie Filologii Polskiej  
Uniwersytetu Jagiellońskiego,  
31-007 Kraków, ul. Gołębia 16